



WACŁAW GAŚSIOROWSKI
(WIEŚLAW SCLAVUS)

FAJKA BATOREGO

*Fantazja jest włąką parafrazą
rzeczywistości.*



WARSZAWA 1934
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ, SPÓŁKA AKCYJNA

OKŁADKĘ SKOMPONOWALI
RYSZARD KRUPOWICZ I TADEUSZ RÓŻYCKI

84731



ODBITO 2200 NUMEROWANYCH
EGZEMPLARZY

№ 288 *

~~48380~~

BIBLIOTEKA GŁÓWNA FILII UW
w Białymstoku



FUW0011139

Prawa przekładów, przeróbek i przedruków zastrzeżone
w całej Europie i w obrębie Stanów Zjedn. Ameryki
Droits de traduction et de reproduction réservés pour tous les pays
All rights reserved

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ, SPÓŁKA AKCYJNA
Hurtownia dla księgarzy i wydawców pod zarządem E. W. Szelągka
Warszawa, Plac Trzech Krzyży 8

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE, PIŁSUDSKIEGO 19

K-148/77/84731



FAJKA BATOREGO

Zrudziałe karty memuarów pani wojewodziny tuliły się do jasnych oczu pochylonego nad nimi młodzieńca, a spowiadały rzewnie z tkliwych uniesień.

Długie, długie lata w pyle starych fascykułów wyglądały takiego słuchacza, takiej ciszy wieczornej, takiej ciekawości na one tęsknice, o jakich ledwie w zmyślonych historjach błahe się zdarzają napomknienia. Gdzieżbo szukać równie dorodnego markiza, dwojga serc zawziętszego impetu, okrutniejszych losu wyroków. Niechże pamięć nie zaginie o tem, co nigdy już się nie powtórzy, a co marą się wyda najżałośniejszym miłownikom.

I memuary, strząchnąwszy rosę zaschłych na pierwszych stroniczkach łez, ruszyły wprost do onej nocy bezgwiazdnej, kiedy owa drabinka ogrodowa wymościła drogę przeznaczeniu, — gdy nagle zaczytanego młodzieńca spłoszył odgłos ciężkich, miarowych kroków.

— Boruta, — szepnął przerażony młodzieniec, kryjąc popielniczkę z niedopałkami pod stosem książek.

Wąskie, głęboko osadzone drzwi zastukotały. Do izdebki wsunęła się wielka okratowana latarnia, mru-

gnęła żółtym ognikiem, a tuż za nią ukazała się chuda, brodata postać w czarnej czamarze i czarnej zwi-sającej rogatywce.

— Po nocy mi nie świecić — licha nie kusić, — upomniał chropowaty głos.

— Właśnie gaszę, panie kustoszu, — bąkał młodzieniec, poglądając zabobonnie na wcielenie Boruty.

— Papierosikiem czuć. Chcesz podkopać! Jednej skry wystarczy!

— Zamek przecież — mury na tarany.

— A zmurszałe bale jak hubka. Niechby, Boże broń, skarby takie, jedno serce Kościuszki... Ciarki po grzbiecie na samo wypomnienie...

— Dopieroż rękopisy, dyplomata, akta, dokumenty, pięćdziesiąt lat dziejówby oślepiło.

Kustosz skrzywił się, latarkę na ziemi postawił i na skrzyni przysiadł.

— Wam zawsze papierzyska w głowie. Uważ, panie Kazimierzu, zbroja, kolczuga, hełm, niech czapa, niech penduła, wiesz kto ją naszał, komu dzwoniła, z kim się zadawała — to jakbyś szmat przeszłości miał w ujęciu. Cóż bo te świstki! Polska zawsze miała skrzynie pergaminów na wszelkie racje. A tu, panie, jak komu do oczu kryształowym puharczykiem króla jegomości, pasem litym, dukatem koronnym, dziewirem na zimno skuwanym, — dopiero gębę rozdziawia, a naszemu majestatowi się dziwuje. Co zabytek to nie konotatka butwiejąca. Gdy sobie kiedy w nocy pomyśle, to za latarnię i do białego dnia po zamczysku

bym się włóczył, byle te bogactwa ustrzec, byle je do-chować...

— Pan kustosz jest i dobrodziejem Muzeum i strażnikiem najczulszym...

Boruta zerknął przyjaźnie z pod nastroszonych brwi.

— Nie wszystkim się tak wydaje. — No, czas do snu. Mamuty paryskie zdążą na rano. Jutro i na świt nie zawadzi. Ostatniej naszej wojny minister nocuje w Zurichu...

— Pan prezes...

— Karteczkę nadesłał.

— Zjazd tegoroczny będzie duży.

— Phi, sporzej byłoby go na tamtym świecie odprawić. Gapiów się natłoczy. Bazyliszek cały dzień bobrował — kontroler z morskiej piany! I u was po biblijotece szperał...

— Pułkownik dawne sprawozdania...

— Ooo! Knuje, zamętu przyczyni, warchoł taki! Niech wydziwia, — półtorej izby było, a dziś pełny zamek. Z Bemem chodził, może tobołki za nim naszał, a w powstaniu nie był. Choćby się wściekł, to mu jeszcze powtórzę, że nie był. Od Ukrainy się skradał i u Austriaków ugrzązł, — tyle było jego powstawania. Żeby do Czachowskiego trafił, za ciuręby nie starczył.

Boruta odsapnął, latarnię opatrzył i dźwignął się ze skrzyni.

— Cóż, panowie rada nabzdurzą i pojedą. Im

święto minie — nam dzień powszedni wróci. Ukłaść się, nie mitrzyćć, ja cośniccoś jeszcze muszę. Dobranoc... a budzik radzę nastawić...

— — — — —
Boruta z izdebki pana Kazimierza ruszył wąskim korytarzykiem do izb bibliotecznych i dalej z izb, jako co dnia, obchodził sale muzealne, krużganki, gramolił się po schodach, żadnego nie pominął kąta, dzwonił kluczami, niekiedy przystawał, uśmiechał się do potyczki, wyzierającej z ram złoconych, muskał pięściwie szmelcowaną zbroję, kłaniał zlekka marmurowej bogini, świecił latarką po gablotach i szklanych szafach. Nie bałamucił, ale się i nie śpieszył. Z najmilszymi swoimi się zadawał. Pociemkuby wycelował do każdej kamei, do każdej sprzączki, do byle kruciczki. Znał każdego przedmiotu ułomności, rysy, pęknięcia, kalectwa, bodaj zadrapanki. Wszystkie je przecież układał, rozwieszał, ustawiał, segregował, okurzał, czyścił, ba, ratował w cięższych opresjach. Sypać zaczęła kóleczkami stalowa misiurka — dorobił jej kóleczek i ma. Brakło wskazówki hetmańskiemu zegarowi — jest wskazówka. Ułanka była bez podpiniki — znalazła się akuratna szwoleżerska podpinika. Wysiapała się makata — jest znów cała. Była rusznica bez kurka, doczekała się kurka stylizowanego. Inkrustacja prysła na staroświeckim puzdereczku — znalazło się i drzewo różane, i heban, i palisander — szkła nakładaj, nie rozeznasz, kędy filigran z perłowej macicy w nową zanurza się oprawę.

W sali portretowej Boruta przystanął i zajrzał do oczu Kollątajowi.

Juści wyglądał, tego wyglądał, ani śladu, że trzeba było dygnitarza operować na kamiennym blacie, nowem płótnem kleić, wykruszoną farbę symulować.

Stary Mayer w Monachjum godzinęby rechotał z uciechy. Jak z tą bawarską księżniczką, co jej nosa zabrakło i podbródka. Wisi sobie w galerji taki młodszy Holbein... *Bavariae natus, Poloniae restauratus...* Gadaj o tem paryskim Mamutom. Takim się zdaje, że spiż trwa wiecznie, że marmur się nie rozsypuje, że na buczynę niema robaka, a na malaturę powietrza.

Boruta odchrząknął z zadowoleniem i skręcił w bok do furty, wiodącej na dziedziniec z Barską Kolumną, aby pójść do swojej kordegardy.

Dziedziniec zabulgotał mu pluchą.

Boruta się stropił.

Wieńce, bronzowe wieńce do rana zaśniedzieją na wilgoci!

Chwili nie było do stracenia. Namacał klucza i bocznymi drzwiami wy dostał się na zbocze murów od strony jeziora.

Ciemń panowała przepastna, nie zwiodła go przecież. Dopadł żwawo mogił wygnańczych. Zdjął z jednej i drugiej wieńce i tą samą drogą zawrócił do kordegardy.

Tu zapalił czem prędzej lampę i, nie zważając na

tulące się doń radośnie koty, jął metalowe liście wycierać do sucha. Zaczem wieńce powiesił na kołku ponad ubogiem posłaniem.

— Niechże mi za żywota splendoru przyczynią— mruknął.

Teraz dopiero zdjął czapę, objaśnił lampę i postawił ją w głębokiej sklepionej wnęce, kędy mieściła się jego ulubiona rupieciarnia z warsztatami, narzędziami, obwieszona, zawalona, wypełniona po brzeg okruchami, złomkami trudnych do rozeznania gratów.

Boruta rozejrzał się z upodobaniem. Odetchnął wonią, buchającą i naftą, i terpentyną, i klejem stolarskim, i stęchlizną, i kociem gniazdem, i z pod tokarki wyciągnął podłużną, mocną, okutą skrzynkę. Dobył kluczyka, który na szpagacie miał uwiązany pod kamizelą, otworzył skrzynkę i jął z lubością oglądać jej zawartość.

Miał, miał jeszcze w zapasie dary muzealne!

Sto dwadzieścia pięć numerów przybyło do inwentarza w ciągu ostatniego roku z nadpisami „Dar żołnierza 1863 roku“ — a tu czai się jeszcze kilka.

Właśnie, kiedy inwentarz jest zamknięty, pora najspodobniejsza między zabytki wsunąć i niech sobie leżą, niech się do nich przyzwyczajają. Po zebraniu rady, dość czasu je zapisać w natłoku.

Choćby ta karabelka, tureckiego kształtu, w srebro oprawna. Klinga niby trzcinka, do rękojeści się

wygina. Metryka ani wątpić, krew z krwi z Wyszyńskiej Kuźnicy, a może i lepiej. Polska szabla!

Cóż, jeszcze jedna polska szabla, hen, kiedyś czyjaś! Bimbała się na rapciach, poniewierała, kiereszowała, dziesiątki lat sługowała, z praszczura na praszczura szła... i była, jak on karmazyn, któremu w zawierusze wszystkie dyploma, wszystkie rodowody przepadły... Takich bezimiennych jest chyba dwa tuziny... Owóż teraz legitymację ma.

Boruta karabelę do lampy podsunął i roześmiał się dobrotliwie.

Na jednej stronie klingi należyta literą „BIJ NIE PYTAJ“, a na drugiej stronie krzyż, a pod krzyżem „VIVAT SEMPER MATER DEI!“

I wygląda! Jest nareszcie tem, czem niezawodnie być musiała — konfederacką, barską szabelką, co grzmociła, jeździła po drewiczowych karkach, bobu zadawała... Moznaby herb jeszcze, moznaby do osoby, — ale niech już w takiej szacie, — „Szabla konfederata barskiego, dar żołnierza 1863 roku“.

Albo te trzy puginały. Renesans francuski, Walezjusze, z takimi chadzali synowie Katarzyny Medycejskiej, takimi zadżgany był Gwizjusz, z takim zawsze paraduje na wizerunkach Henryk Walezy. I jest akuratnie. — Trzy lilje, a obok Orzeł z Pogonią, — jako sam lubił się pieczętować. — I brzmi właściwie: „Puginały Henryka Walezjusza, króla polskiego, dar żołnierza 1863 roku“.

Z dna skrzynki wyjrzał jeszcze jeden zabytek.

Boruta sięgnął poń ostrożnie i na rozwartych dłoniach ku światłu zbliżył.

Cudo takie, wymuskane, z tułactwa poczęte.

Ile to lat, ile to już lat!

Kiedy po rozsypce do neuhauszeńskiej ludwisarni na terminatora przystał, a pierwszego majdrowania się uczył, w kramiku antykwarskim naprzykrzyła mu się czereszniowa antypka. Luleczka sobie bez głowy, ale osobliwego kształtu. Podziwiała się chyba z dziecięć lat i dłużej między rozmaitym sprzętem. Aż razu jednego, w Monachjum, reparując sekretarzyk, znalazł był w szufladce fajczaną główkę, kłębuszek z wrzosowego korzenia, rzadkiego słoju, niezwykłego dostojęstwa. Wspomniał na antypkę, przymierzył, jedna do drugiej jakby na urząd pasowana, jakby sto lat w komitywie. Uczyniła się cała fajeczka. Dawnego autoramentu, niepospolitego rodowodu. Ale cóż, skromna sobie.

Aż dopiero przed kilku miesiącami, wertując, dłubiąc tędy i owędy, napatoczyła się wstążeczka cała, pasemko kutego, w ogniu złoconego bronzu. Fryz istny, wenecjańskiej roboty, w koronkę dziergany misterną. Tu go próbował, tam zamierzał — nie szedł. W ostatku, odniechceni do fajeczki go przyłożył...

I uczyniło się, uczyniło się cacuszko, stylem namaszczone, niby samemu Juljuszowi II z pośród fatalaszków najkosztowniejszych uszczknięte.

Boruta posmutniał.

Śliczności takie! W medaljoniku, na górnym otoku

conych otokach, wrzos kłębiasty, czereszniowa antypka, tu zygmunowski orzełek, a tu, na obrączce, poprostu... *Stephanus Rex...*

Nazajutrz zgilek świąteczny na zamku. Tuży emigranckie, srogie dostojniki, narodowego dziedzictwa czujni argusi, kędy siedmiu przystanie, tam pięć wieków deliberuje. Już do zielonego stołu dążą, już radzieckimi szurają krzesłami.

Aż tu naraz, z głębi sal muzealnych, wypada najzawziętszy ze wszystkich sprawy ojczystej pułkownik i rwie naprzelaj do biblioteki, za nim w tropy profesor.

Zamęt się czyni. Pułkownik nie zważa. Już dopadł Jasińczyka, już krzaczastych brwi nastroszył i już komenderuje, jak czasu węgierskiej potrzeby.

— Encyklopedje, — dawać mi tu encyklopedje! Wyskakuje od boku pan Kazimierz.

— Pan pułkownik dobrodziej życzy?...

— „Ef“, — bierz mi „ef“!... Na, masz tam Orgelbranda, czy jak!...

— Niechże pułkownik, — sapie zadyszany profesor.

— Jest — jest „ef“!...

— Szukaj „fajka“!...

— Fajka? — Fajki... u Orgelbranda niema!...

— Jakto, niema fajki? — Musi być fajka!...

— Jest Fajans, Fajardo, Fajerwerki, Fajfer, Fajślawice... a Fajki niema



— Więc szukać! Lexicon, Brockhaus, Britanica. Larousse!! *Die Pfeife, czy der Pfeife, la pipe...* tytuń, nikotyna do stu par djabłów... zobaczyć co, kiedy, jak! — Uwijać się! I Stefan Batory, kiedy dokładnie?...

Brzdękneły księgi, zafurkotały przewracane pospiesznie stronice.

— Jest, jest fajka u Larousse'a!...

— Czytać, notować!...

— „Może być z korzenia, z pianki, gliniana czyli porcelanowa, z wodnym rezerwuarem, opiumowa, prosta, wygięta, na cybuchu“.

— Lecz kiedy, kiedy nareszcie się zjawiała w Europie, kiedy do Polski?!...

Jasieńczyk z panem Kazimierzem w fajecznych pograżyli się dokumentach, — profesor mitygował pułkownika.

— Panie Zygmuncie dobrodzieju, — cóż bo takie głupstewko z poczciwości upartej...

— Dosyć mam tego fabrykanta, — na cztery wiatry. Śmietnik, lamus!...

— Chyba czwartą część zabytków jemu...

— Fajki, tej fajki Batorego póki życia nie daruję! W ruchawce się poniewierał, uczciwej batalji toto nie oglądał...

— Fajka do Europy, — tłumaczył z Larousse'a pan Kazimierz. — Fajka do Europy, to jest do Francji, razem z tytuniem... przez Nicota, 1560...

— A Batory...

— Umarł 1586...

— Widzisz pułkownik, w dwadzieścia sześć lat później dopiero!...

— „Była początkowo srebrna, miała słomkę zamiast lulki. W użycie weszła znacznie później“.

— Widzisz profesor, tedy Batory nie mógł kurzyć, skoro nawet we Francji...

— Zapozwoleniem, kurzenie przyszło do nas z Turcji albo jeszcze lepiej.

— Niema dowodu!

— Jest — jest, — uparł się z triumfem Jasieńczyk, — jest u Orgelbranda pod „tytuń“. — „Uchański, poseł nasz w Konstantynopolu, nadesłał pierwszą próbkę tytoniu... w roku 1590“.

Pułkownik grzmotnął zeszlą piąstką w stół.

— Dosyć! — Robić kopje na dwie ręce! — Ja mu pokażę!...

— Siedemdziesiąt lat, — szeptał profesor.

— Siedemdziesiąt? — Taki smarkacz! —

— Walczył za ojczyznę...

— A za kogóż miał walczyć do stu piorunów! — zaperzył się pułkownik. — Dowiedzą się, — niech się dowiedzą. — Zasię takiemu do Bema, rozumiesz profesor, niech go rada sądzi...

— — — — —
I fajka Batorego zatargała całem zgromadzeniem. Krótkie były przepierki.

Pułkownik huczał. Zrzędził dawny komisarz Rzą-

du Narodowego. Historyk sztuki naukę palną i zakończył wreszcie pojednawczo:

— Panie kustoszu, ofiarność jego znakomite kładzie zasługi, — kiedy naszemu Muzeum karabelę barską dedykujesz, — sam postrzegasz autentyk niezawodny, bo sodalisowym znakiem nastemplowany, — ona fajka przecież, chociaż niezawodnie bliska batorewych czasów, jako anachronizm przypuszczalny, musi ustąpić...

W tem miejscu, ostatniej wojny minister skinął głową, a historyk sztuki uścisnął gorąco starego kustosza na zadokumentowanie, iż fajkę Batorego salwowała barska karabela.

Upłynęło od tych czasów lat trzydzieści... w Rapperswilu...

K O N G R E S

Pani Martin aż wykrzyknęła na widok pani Denis, objuczonej paczkami.

— Ależ to dopiero ładunek! Niechże pani wstąpi i spocznie chwileczkę. Taki ciężar, na całego draba byłoby za wiele!

Pani Denis odetchnęła z ulgą, zbywając się odrazu i siatki, wypełnionej warzywem, i trzech innych pakunków. Pani Martin musnęła uprzejmie fartuchem po wyściełanem krześle, najwykwintniejszym sprzęcie wąskiej, mrocznej stróżówki.

— Co robić, co robić, moja droga pani Martin, wchodzimy w świat, niepodobna w ostatniej chwili, ktoś nagle z wysokich osobistości...

— To się wie.

— Musiałam nawet u kupca dać większe zamówienie. Po południu ma przyjść tapicer. Trzeba czempredzej wyporządzić nasze mieszkanko. Profesor nie chciał słyszeć o niczem ale ustąpił. Raczej jakąś należność opóźnić...

— I sprawiedliwie. Sam gospodarz mówił, żeby profesorowi nie wspominać o komornem. Moratorjum czy nie moratorjum, — zapłaci, kiedy będzie chciał. Taki lokator! — Może kropelkę wina? — Nie zaszkodzi. — Taki lokator toć duma Batignollów! Powiadali wczoraj u rzeźnika na rogu, że tablicę pamiątko-

wą wmurują w naszą kamieniczkę na jego cześć. Przyznam się pani, że, kiedy tu nastalam, nigdy nie mogłam zrozumieć tych wszystkich Polaków, którzy się w naszej dzielnicy podziwiali. Myślałam, Rosjanie jacyś...

— Jakże było można!

— Właśnie. Człowiek nieuczony. — Niechże pani kropelkę. — W naszej Owernji szkółek było nigdy mało wiele a o tych ruskach prawiono wszędzie. Dopiero jak na zawieszenie broni zrobiła się parada, jak pod Łukiem Triumfalnym zobaczyłam tych zuchów kwadratowych, to mi się cała Polska objawiła. I, wie pani, nie wytrzymałam. Ucapiłam sobie jednego na bulwarach. Pani kochana, niechże sobie mój Remigjusz ma Królestwo Niebieskie, — gdzie mu do tylego artylerzysty! Lepiej niż sto franków kosztował poczęstunek. Niebardzo mogłam się rozmówić, — ale komu tam było do rozmawiania, — *vive la Pologne* i basta!...

— Niechże sobie teraz pani wystawi, co się u nas działo. — Kiedy ludzie zaczęli pod naszymi oknami wykrzykiwać, — profesor runął z fotela na podłogę. Byłam właśnie w jadalni, biegnę do profesora, — siedzi na ziemi i zanosi się od płaczu. Ja do niego a on mnie w ramiona. Spłakałam się, droga pani, oboje spłakaliśmy się z wielkiej radości.

— Gdzieżby równie oddaną znalazł dzisiaj, — wszak dwadzieścia lat?

— I trzy, droga pani Martin, jeszcze za nieboszczki. Łagodne to było stworzenie ale chorowite.

Długo się nie męczyła. Sama jej oczy zamknęłam, sama na ostatnią drogę wystroiłam.

— Jeszcze kropelkę.

— Chyba kropelkę. Dawne dzieje.

— Pan profesor, cóż, niewczorajszy, — ale dorodny, spojrzenie wyraziste, wąs piękny, biały, postawa wielkopańska. Dość okiem rzucić, — widać zaraz, że ktoś...

— Z książęcego wywodzi się rodu.

— No-no, moja pani Denis. — Kamieniczka, trzy okna frontu, sześć pięterek, niby kiszeczka sztorcem ustawiona, na dole pralnia, a nad pralnią książę polski, jak w tych romansach!... Niktby mu więcej nad pięćdziesiąt nie dał...

— Siedemdziesiąt minęło.

— Wolne żarty, — gdyby nawet, — wieku latami nikt nie mierzy. — Proszę darować, ale nieraz mówimy sobie z panią Małgorzatą, — że chyba dla tych kilkunastu franków na miesiąc...

Pani Denis odgarnęła promień włosów srebrzystych, niesfornie skradający się ku hożej jeszcze buzi.

— Mój nieboszczyk był przecież starszym listonoszem, fortuny nie zostawił, dość jednak, aby przy emeryturce wytrzymać.

— Takośmy rachowały.

Pani Denis westchnęła, — pani Martin ciekawsze zarzuciła sieci.

— Za tyle dowodów poświęcenia chyba pan profesor już pani nie opuści...

— Nawetbym sobie tego wyobrazić nie mogła. Tylko, widzi pani, — z tej Polski jednym wesela drugim niepokojem przybyło. Wielki obywatel, całe życie tą swoją Polską się dręczył, dla niej pracował, dla niej się nacierpiał, natulał, — aż się doczekał. Na dygnitarza wyrósł, tylko patrzeć do Pałacu Elizejskiego zaproszą, między najpierwszymi ministrami z całego świata zasada...

— Może prezydentem zrobią.

— Wcalebym się nie zdziwiła, bo, uważa pani, on jakby jeden z tych ostatnich, prawdziwych.

— Jejej, no moja droga pani Denis, tu sobie kamieniczka mizeracka a tu zamki, pałace, kirasjery, gwardja narodowa.

— Więc otóż te zaszczyty, te honory...

Pani Martin kiwnęła się domyślnie.

— Trwożą, — tak, tak, chwytam pojmuję ale wdzięczność...

— Ma pani rację, — ucięła oschle pani Denis, — i za to Bogu trzeba dziękować, że pan profesor tak za służonej doczekał wdzięczności.

Pani Martin na ten zwrot mrugnęła niespokojnie, nie mogąc dociec wątku, — pani Denis nie pozwoliła jej wszakże przyjść do słowa. Zerwała się niby wskazówkami zegara spłoszona i znikła razem z paczkami i paczuszkami za firankami drzwi, prowadzących do sieni.

— — — — —

Pani Denis wsunęła się cichutko do mieszkania profesora, tchnęła nieco w ciemnym przedpokoju i zawróciła do kuchni. Tu rozpakowała prowianty i jęła się krzątać, aby nie chybić drugiego śniadania. Kiedy nareszcie kartofelki zaskwierczały na patelni a rynka metalowa syknęła parą, pani Denis zapasała fartuch, zerknęła w lustro, wiszące na ramie okiennej, przygładziła włosów, napudrzyła oblicza i śmignęła do jadalni. W kilka minut stół był nakryty, rzodkiewki boczyły się na solniczkę, butelka wina była znów za pan brat z kieliszkiem i szklanką do wody, dwa biszkopty w najlepszej komitywie z krążkiem masła i długą bułką rumianego chleba. Ostry, natrętny dymek przedostał się w samą porę z kuchni, — czas był ostatni. Pani Denis uciekła się więc do zwykłych sygnałów, szurgnęła raz i drugi krzeselkiem, brzękła sztućcami, zastukotała talerzem, lecz w odpowiedzi jeno zegar na starym pianinie czegoś mocniej skrzeknął. Po chwili wahania, nacisnęła klamkę drzwi, wiodących do sypialni czyli i pracowni zarazem, i tu wykryła przyczynę głuszy.

Drzwi do lamusa za sypialką były otwarte, — do tego straszego lamusa, który, ku utrapieniu pani Denis, był nietykalnym składem fascykułów, starych książek, pajęczyn, kurzu i nieokreślonego kształtu rupieciarstwa.

Pani Denis bliżej podeszła i jęknęła prawie z żalności.

Profesor, sam pan profesor siedział na podłodze

pośród stosów papierzyska, w nocnej koszulinie, w nowych, odświętnych majtasach, umorusany, szary z onego lekkomyślnego zadawania się z własnym archiwum.

— Jezus, Marja, panie profesorze!

Dobre, jasne oczy profesora rozśmiały się z ponad okularów.

— *Habent sua fata libelli*, — co się wyklada także, — szpargały zmartwychwstają niekiedy.

— Uch, te szpargały! — Niechże się pan profesor wesprze, — tak się wycierać! — Rety! — Czyściutka koszula, — spodnie dziś prasowane!

— To nic, to nic, moja pani. — Znalazłem. — W głowę zachodziłem i są, istne skarby.

— Śniadanie!...

— Głupstwo śniadanie! — Widzi pani, są, wszystko jest! Zjednoczona Emigracja, Towarzystwo Demokratyczne, Liga Narodowa, — trzeba Lelewela jest Lelewel, Mochnacki, więc Mochnacki, — Skarb Narodowy, — Hotel Lambert. Gadon, Agaton Giller, czartoryjczyki...

— O mój Boże, nasza potrawka cieleca!

— Niech się spali. — Proszę wziąć te cztery pliki na moje biurko.

— Wczoraj je świeżo polakierowałam, — gdzież takie brudactwa rozkładać.

Profesor się namarszczył. Gospodyni dźwignęła żądane pliki.

Dąsy z tego przemówienia wynikły ale krótkie, bo

gdy pani Denis podała kawę, profesor ozwał się z pojednawczym wyrzutem.

— No-no, zbytki, zbytki mi wyprawia moja pani Denis, takie lukullusowe śniadanie.

— Luksusowe? — Aby ten spodeczek konfitur. I to myślałam, że pan Broniek będzie.

— Ma być po południu, — ale mniejsza z tem, uraczyłem się prawdziwie.

— Ledwie pan czego tknął.

— Ooo!... Trzechby tyle nie poradziło. Niech mi pani kawę postawi na biurku.

Pani Denis żałośliwie spoglądała, jak profesor zasiadał nad paką, sznurkami powiązanych, zeszytów i brzuchatych obwolot.

— Cuda — cuda.

— Możebym choć z grubsza otrzepała?

— Nie trzeba, tem właśnie szanowniejsze. — Choćby tekturka mego ojca. — Rok czterdziesty drugi, ksiądz Kajsiewicz odprawia nabożeństwo, pierwszy mówi pan Vavin, deputowany Paryża a dalej Ordega, generał Dwernicki, Zwierkowski. Dwunasta rocznica rewolucji a tuż obok dwunasta powstania styczniowego, — rok siedemdziesiąty piąty...

Panią Denis sprzeka ugryzła.

— I cóż komu przyjdzie z tych świstków.

Profesor łysnął groźnie białkami.

— Nie bajać o tem, czego się nie rozumie! — Wiesz pani, wiesz, co choćby w tej tutaj plicie? —

Cała Polska, od morza do morza. Taka, jaką była, jaką być powinna i jaką być musi!

W tem miejscu profesor grzmotnął pięścią w stos papierów. Obłok stęchłego pyłu wionął mu posłusznie. Pani Denis siąknęła zawilgłym nosem i umknęła do kuchni.

Profesorowi uczyniło się ckliwo. Juścić się uniósł. Zaczyna kobieta, lecz wyobrażenia nie mająca. A tu szczere klejnoty. W Bibliotece i ćwierci nie mają. Rodzic zbierał, stryj ciulał, resztę się dokładało, dziećwiećdziesiąt lat gromadzenia. — Niech się stawia na głowie, bez tego na kongresie z miejsca nie ruszą. — Ciekawa rzecz, z czem Broniek przyjdzie. — Smerda jakiś coś kręci. — Nie chce poprostu wyznać, że myśkuje od Komitetu a tędy owędy chce starego Rynwilla zacharapć i na podwórko komitetowe przyprowadzić. — Ho-ho, ale nic z tego. — Chcą? — I owszem, ale tu muszą, sami muszą na pięterko. Tu im się dopiero wypali nauczka, — i wówczas do roboty. — Nadto wiele o sobie mniemają. — W ciągu wojny sprzeciwiali się, bróździli. — Ci tak a ci znów owak. — Jedna tylko „Wolna Polska“ murem stanęła, — ani piędzi ziemi nie darować, z zaborcami polityki nie stroić, wszystkich trzech grabicielów naciśkać. — Nie podobało się imci dyplomatom, — po swojemu kalkulowali, — a na czyjeż wyszło? — Leżą trzy potencje jak barany. — Noża brać i krajać, co swoje. — Teraz nosy na kwintę i każdy udaje, że właśnie do tego się przyczynił. — Istne kpiny choć gęste

miny. — Więcej niż kopa luminarów się zjechała i mędrkują, szperają, miamla, — a tu jest, jako i było od początku, — przed „adruszowskim“ i po „karłowickim“. Za Dniepr i do Dniepru, od Wrocławia po Kijów a choćby od Szczecina do Połocka. Na każdy skrawek akty, manifesty, metryki. — I czasy — śnione, rojone. Gdyby choć pułkownik, — dwu lat mu zabrakło, dwu lat życia. Jakżeby się radował ostatniego powstania minister.

Profesor szarpnął pierwszą z brzoza obwolutą. Sto dokumentów, sto butnych ozwało się głosów, cały poczet imion potężnych, spiżowych w narodzie. Dzieje, martyrologja, wszystkie zbrodnie, wszystkie krzywdy, wszystkie zmagania, gorycze walki, swary i cała najlepszych synów ojczyzny desperacja i cała ta niezachwiana wiara.

Mijały godziny. Profesor oderwać się nie mógł. Wizja za wizją, korowody widm, kłębiska zabiegów, wysiłków, not dyplomatycznych, spisków, emisarskich raportów, cała historia Europy współczesnej sprawą polską nadziewana, wszędy polskimi oddziałami, watahami, legionami szczękająca.

Kiedy nad wieczorem Broniek schylił się do ramienia profesora, — ten ledwie go sobie przypomniał.

— A jesteś? — No to dobrze. — Wystrojony, naperfumowany, — czekaj — miałeś po południu? — Nie mogłeś. W Komitecie urwanie głowy? — Chacha! — Jakżeby inaczej? — Z pustego nie należy. — Siadaj, siadaj.

Bronek przykucnął na wysiapanym taboreciku przed biurkiem i prawil zawiłe. Profesor nie zważał a natomiast z ukontentowaniem przyglądał się wystrzelistemu młodzianowi.

Urósł mu ten dzieciuch, jeden z tysiąca podobnych. Wczoraj biedota nieszczęśliwa, przyhołubiona do szkoły, dziurami, łatami świecąca, — a oto ci kawaler, statysta, fruczek taki *alias* ludzki koliber, działa, kombinuje a jakby go zbliśka nacisnąć, — to mu jeszcze *ut consecutivum* do rozumu nie wycelowało.

— Polska jest dopuszczona do obrad kongresu na prawach aljanta, — dziś komunikowano oficjalnie.

— Aaa!... Nic o tem jeszcze nie wiem. I cóż więcej w Komitecie?...

— Organizujemy się, wydziały się formuje...

— Hm, wydziały.

— Prezes zapytywał o zdrowie pana profesora, bardzo serdecznie zapytywał.

— Puah! Wielka uprzejmość! — Tu, tu, na tym samym taboreciku Romek wysiadywał, — akurat w twoich był latach. Rozumiesz? Kiedyż zaczną się sesje?

— Nie ustają prawie.

— Jakto? Bez powinnych konwokacyj? Bez należytych materiałów, bez źródeł, bez uczciwego *plenum*?!

Bronek zapatrzył się w splachęć wypłowiałego dywanika. Profesor kręcił głową a przymawiał nieładowi.

Pani Denis ukazała się we drzwiach jadalni.

— No chodźmy do stołu.

Bronek jął się wymawiać pośpiesznie.

— Skoro masz tak ważne sprawy... Więc ten, zawsze wpadnij. Uważasz znalazłem, — skarby całe znalazłem! — Aha, więc chciałeś mi dać do zrozumienia, że ten wasz wielki prezes a mój dawny pupil, chciałby konferować? — Niby coś tak. — Hm, tedy owszem, zna drogę, z domu się nie ruszam... Czekaj, — mam Zannoniego, — słyszałeś, — atlas roku pierwszego rozbioru, *Societas Jablonoviana*. Granice na upartego akuratne. Mogą dostać, rozumiesz...

— Kiedy właśnie nasz wydział geograficzny opracowuje wykresy narodowościowe... i ma nawet z Jagiellońskiej...

Profesor się odął.

— „Wościowe“, „wościowe“, — nie napraszam się, — tedy czekam jutro.

— — — — —

Tydzień minął. Bronek się nie pokazał. Profesor atoli jakby nie zauważył oczywistego uchybienia. Pograżony w dokumentach, wertowaniach, notatkach nie wypomniał nawet opieszalego ucznia. Tu przecież rzeczy pilne a doniosłe. Już po gazetach prawią lada co, Rzeczpospolitą umniejszają a w dodatku nietylko Rusiny nabechtane ale Litwini separować się chcą. Grzech, grzech śmiertelny, wartogłowów samobójstwo, Litwa bez Korony a Korona bez Litwy, bez onego

krwią najpocziwszą uświęconego braterstwa. Pisać trzeba, Francuzów pouczać, klarować.

Przy tym trudzie gorącym szkuta z odwiedzinami. Czeredy dawnych batignollczyków, od lat niewidzianych znajomków emigranckich, niedobitki głodomorów powstańczych. Każdy z czołobitnością i fra-sunkiem pod pachą. Ten skonfiskowanego dziadowi mająteczku się dopytuje, ten rekomendacji do Komitetu szuka, tenby się w konsulacie chciał zawiesić, ten rewindykuje jakoweś sumki przypadłe, ów legitymuje swoją biedę całego rodu dla ojczyzny wyniszczaniem. Opędzić się niesposób. Więc temu wizytówka lakoniczna — „Profesor Rynwił poleca uwadze Szanownego Komitetu“ i t. d., — temu morał należyty a temu nauka o cierpliwości lub kilka franczków doraźnego sukursu. — Nadobitek siaki taki w dociekania, — a jak tam kongres? — a co na kongresie? — a jak tam z kongresem? — kto z Emigracji na kongresie? — W ostatku te indagacje tak dokuczyły profesorowi, że pchnął telegramik do Bronka. — Urzęduje w Komitecie, niechże powiada. — Gdy zjawił się nareszcie, Rynwił do niego obces. Bronek wił się, składał a wyraźnie powiedzieć nie umiał. Profesora tknęło niemile, ale się zmógł. Wyciągnął pękata księgę i rzucił młokosowi do oczu.

— To trzeba mieć, — rozumiesz, — zbiór wszystkich traktatów i aktów dyplomatycznych Anberga. Rzadki egzemplarz. Patrz, rok sześćdziesiąty drugi.

Nie mędrkować, na tem się oprzeć, — doręczysz w moim imieniu.

Bronek się stropił.

— Nie ślepiąc, z tem niby z latarką! — Niech mają odemnie. — Hę? — Jakie znów „kiedy“?...

— Kiedy bo, — płatał się Bronek, — już wydrukowali.

— Co wydrukowali?

— Ten cały zbiór, nowe wydanie... *in quarto*... rozesłane już wszystkim dygnitarzom konferencji pokojowej...

— Patrzaj ich, — wielkich panów! — Hm, bardzo dobrze, — moja ofiara niepotrzebna, — pójdz ciele. — Białego kruka sobie wydrukowali. — No — no!

Bronek usiłował sztucznie zmienić przedmiot rozmowy. Profesor zbliska nacierał.

— Któż tedy obok Romka i ordynata idzie na czolo?...

— Ignacy...

— Ignalek? — Bardzo dobrze. — Na tem pianinie wygrywał. — Tu siadywał Zamoyski. — A tu Czartoryski. — Wiesz kiedy umarł? — W dzień zabójstwa prezydenta Carnota. Tak się dziwnie skojarzyło. — I któż jeszcze, któż?...

— Nie wiem, chyba jeszcze kto z Poznania.

Rymwida dojęło.

— Tedy któż, u pioruna, będzie reprezentował Emigrację?!!

— Emigrację? — Nie słyszałem, aby mówiono o Emigracji...

Profesor poczerwieniał.

— Tedy nie wiesz, kto solą był narodu, — kto walczył, — kto czuwał, — kto się nie splamił żadnym kompromisem? — Tam, za stołem kongresowym, pierwsze miejsce należy się Emigracji, należy się tym, którzy nigdy nie zwątpili którzy stawali za wszystkich, którzy reprezentowali zawsze jedną i niepodzielną!

Broniek zbladł.

— Cóż ja, cóż ja, panie profesorze, jeden z wielu podrzędnych kancelistów...

Rynwił się zreflektował.

— Masz słuszność, — inaczej wypada. Zapamiętaj jednak sobie, mój chłopcze, świadectwo pośmiertne Ludomira Gadona... „Ona dźwignęła naszą samostność umysłową i opromieniła ideał ojczyzny, ona podniosła uczucia narodowe do samopoznania i siły dotąd niebywalej — do siły, której już żadna moc nie zachwieje, a która, zahartowana w walce codziennej, nadal — da Bóg — tylko pogłębiać i rozlewać się będzie“.

— — — — —
Trzy dni rozmyślał profesor a dwa dni pisał kilkanaście wierszy grzecznego, lecz raczej oschłego listu. Jak z kamienia mu szło. Łatwiejby mu było ułożyć notę żądającą przyznania Polsce Kurlandji, aniżeli taką epistołę skomponować.

Wyprawił ją nareszcie. — Niech sobie mniemają, że się korzy, że zgłasza kandydaturę, — spełnił obowiązek.

Odpowiedź nadeszła, do uprzykrzenia nierychliwa, wzamian czci i uszanowania pełna...

Cóż, — Komitet, jako każde ciało tej miary, jest emanacją sfederowanych stronnictw, emanacją przedstawicielstwa zaborów, które same nad własnym losem do radzenia są powołane. Jak Komitet wynika z ciał polityczno-parlamentarnych, tako i ściślejsze delegacje, tako i ostateczna, najwyższa ich kwintesencja, która atoli musi budzić zaufanie aljantów... Olbrzymie zasługi Emigracji w żywej trwają pamięci... *Par's magna* tych zasług, na pierwszej karcie dziejów odrodzonej ojczyzny, znajdzie świetny wyraz...

Rynwił złożył starannie odebrane pismo i wsunął do teczki z nadpisem „sprawy załatwione“.

Tego samego wieczora, pani Denis, która była spostrzegła jakąś niepojętą zmianę w usposobieniu profesora, wpadła podniecona, — owóz była dobra no-wina.

— Panie profesorze, — jest gazetka, — więc jutro, jutro pierwsze narady z delegacją polską.

— Jutro? — A tak, oczywiście, jutro...

— Przygotujemy więc tużurek, spodnie w paski, krawat czarny...

— Niezawodnie.

— I może coś na jeden ząb około jedenastej, bo niewiadomo jak to długo potrwa...

— A niewiadomo.

— — — — —
Nazajutrz cała kamieniczka zagadała a rumor wystrzelił aż na ulicę Lamandé i z Batignollów aż na Clichy.

Profesor Rynwiłł obraduje na kongresie z „Tygrysem“, z Wilsonem samym i z tym angielskim szpryncem, Lloyd Georgem, o swoją ukochaną Polskę się prawuje.

Pani Denis tymczasem, choć pełna dostojnej pychy z tylego splendoru, zaczęła się niepokoić. Profesor nie przymawiał żartobliwie, nie zagadywał. Z konferencji wracał zmęczony, osowiały. Jadł mało, na ulubione szpargały ani spojrział, nawet gazetek był nieciekaw. Z łóżka na fotel, z fotela do stołu i znów na fotel. Najosobliwsze, że gdyby nie czujność gospodyni, która pilnie baczyła, aby się profesor na sesję nie spóźnił, gotówby z domu się nie ruszyć. Kaszel, ten dawny, uciszony nieco, kaszel dręczył go mocno. Pani Denis nastawiała ziółka, stare wynajdywała recepty, ledwie tknął leków. Czasu pluchy nadmiar skąpił sobie na taksówkę, bo wracał niekiedy uszargany, przemoczony, jakby nie z dywanów ministerjalnych, lecz z podmiejskiego błociska.

Stąd gdy pewnego dnia pani Denis spostrzegła w pobliżu kościoła zgarbioną postać doktora Pukalskiego, ucieszyła mu się niby zbawcy i dalej rozpowiadać.

Doktor obruszył się z miejsca.

— W domu powinien siedzieć a nie włóczyć się na taki czas po Montmorency! — Tak, moja pani, — siostrzanka, która zmarłą niedawno matkę nawiedza, znów go spotkała wczoraj na cmentarzu. — Li cho go kusi! — W cztery konie tam go zawiozą. — Zawsze uparciuchem był i nieusłuchańcem. — Taki szmat drogi! — Co? — Na kongresie? — Profesor na kongresie? — Na jakim znów kongresie? — Cóż takie graty emigracyjne mają do kongresu?! — Wszyscy się tam zbierzemy powoli. — Przyjdę, zobaczę.

Pani Denis ogarnąć nie mogła tej nowiny. Następnego dnia wszakże, tknięta złemi myślami, wymknęła się chyłkiem za profesorem.

Krótkie były wątpliwości. Rynwiłł skręcił z Batignollów na lewo, na bulwar Clichy i zawrócił na uwięziony wśród murów prastary cmentarzyk Montmartru i tuż zginął w lesie krzyży i grobowców.

Pani Denis znała dobrze cmentarzyk, znała namięć owe stacje żałosne, któremi zwykli byli chadzać batignollczycy. Ruszyła więc żwawo na Avenues des Polonais, stąd na kraniec, do owego słynnego poety, wreszcie do tego drugiego, co pod wjaduktem, miast ciszą stepów ukraińskich, łoskotem i skowytami wielkomijskim był kołysany.

Profesora nie było widać. Miała już zawrócić ku bramie i tam czatować, gdy tuż, na tle szarżyzny kamiennej, dostrzegła białą głowę.

Był, był, siedział na płycie grobowca tego dobrego pana Korytki, co zgasł tak niedawno.

Przypadła zatroskana.

— Boże, mój Boże, więc takie narady!...

Rynwił obrzucił ją mętmem spojrzeniem, mocniej
na zrębie granitu się wsparł.

— Z kimże pani myślałaś!—Toż tu ostatni Rządu
Narodowego komisarz!!...

KOLOROWE BEZDROŻA

Samochód dygocze wymuskany, lśniący. Ładunek osobowy jak przystało w Stanach Zjednoczonych: była obywatelka wyspy Laland, spadły z nad Sekwany warszawiak i psina kudłata, urodzona w Buffalo, w prostej linii z kanadyjskich wywodząca się traperów, zresztą pakunków tyle co na week-end do Konstancina.

Start właściwy,—północny cypel Stanu Pensylwania, a cel południo-zachód, hen, za Mississipi, poprzez Arkansas i Oklahomę do Texasu, a bodaj do Nowego Meksyku. Ani rekord, ani sport. Marne sześć tysięcy kilometrów w perspektywie, żadnych zgóry powziętych planów, a za całą legitymację tekturka z nazwiskiem kierowcy, nawet bez fotografii. A na postrach rabusiów, filmowych bandytów, świeżo uregulowany klakson... bo juści Ameryka, a nie Europa.

Pierwsze czterysta kilometrów idą jak z kamienia. Resztki wzgórzy pensylwańskich i ohaiowskie garby. Droga przez Youngstown, Canton, poprzez fabryczne zadymione osiedla, po ostrej, klinkierem wykładanej nawierzchni, między sznurami ciężarówek, kręta, zagmatwana, pokrajana wstęgami szyn, najeżona groźnymi znakami ostrzegawczymi, a przerażająca kępami białych krzyżów mogiłnych... Ile krzyży na zała-

mie, na przejeździe kolejowym, tyłu w danym punkcie ludzi padło trupem na miejscu w samochodowym roztrzasku. Niemiły sposób oхайowski na pożeraczy kilometrów. Automobil jakby bezwiednie zwalnia. Tu, na zawrotnym łuku, widać kilkanaście naraz białych ramion, owdzie w raptownym zapadzie drogi istny cmentarzyk. Czasami niezrozumiałe, stałe miejsce wypadków na równej, gładkiej wstędze.

Za Nową Filadelfją niepokój. Mapa tłumaczy, że powinno się jechać na Pershing, a tu wyrasta biała tablica przed osiedlem z napisem „Germantown“.

Trzeba zawracać. Owóz pompy benzynowe, — dobrze zasięgnąć czasami języka.

— Którędy na Pershing?

Kanciasty łeb szczyrzy zęby.

— Właśnie Pershing!

— Wszak napisano Germantown?

— Czasu wielkiej wojny z „German“ nie wypadalo, — więc nazwano Pershingiem, — teraz wrócono do dawnego porządku, bo i tak sami tutaj Niemcy...

Dopiero z Zanesville ukazuje się „Stary narodowy szlak“, słynna droga od oceanu do oceanu, od stolicy aż do San Francisco. Droga niegdyś bajeczna, teraz aż po Columbus żałośnym ścieląca się asfaltem, niby w jakowemś zapadłym miasteczku. Za Columbus pierwszy nocleg w przydrożnym domu. Nazajutrz wczesnym rankiem właściwa podróż, bo i całkowite zgranie się mięśni z kierownicą i szmat rozłożystego cementu i jak okiem sięgnąć żywego ducha.

Maszynka wypoczęta, napojona, rozpuszcza koła, wpada w miarowy dygot i przechodzi zwolna w cichy poszum. Rolety u okien warczą, pęd łaskocze upałem, łąki odurzają wilgotnym jeszcze sianokosem, biała taśma cementu skrzy się w słońcu, a rozszerza z zawrotną szybkością.

Drzemiący jeszcze Springfield-Ohio dziurawimy jednym tchem i znów dal, dal, przestrzeń, świat, kontynent olbrzymi.

Wskazówka mija sześćdziesiąt mil na godzinę, sięga poza sto kilometrów. Samochód idzie szalonym tempem.

Głos ostrzegawczy przypomina pętlę na tamie objazdowej przy rzece Miami. Ale jeszcze dziesięć mil...

Naraz, za plecami, coś zawyło jęklawie, załomotało obok. Jaskrawa maszynka wyskoczyła od lewego boku, zrównała się, rozśmiała czterema naraz gębami murzyńskimi i śmignęła nam pogardliwie, niby lokomotywa furze siana.

Co za licho? — Nasz samochód dociera wciąż do 65 mil angielskich, pędzimy jak strzała... A tu ten nowomodny Whippet, pudełko blaszane, nadziewane dwudziestu końmi parowemi, armata w zlepku tandety!... Chyba szybko mierzą bzdurzy, prawi, że trzymamy sto kilometrów a tamtych ani śladu, ani znaku.

Kwaśne humory. Samochód — łgarz. Zwalniamy, bo owóz i pętla zakręca gwałtownie w lewo i po ostrym łuku wiedzie ku balustradom nowiutkiego mo-

stu. Już dojeżdżamy do żelazobetonu, już mamy wpaść w jego szerokie ramiona, gdy jedno drgnienie podświadomości i samochód zatrzymuje się ze stękiem.

Tuż przed nami rumowisko pstre, poskręcane żelaza, prętów, drzewa, szprych, obręczy, rumowisko mokre, dymiące a między drzazgami cztery lby kędzierzawe w utyłanych łachmanach.

— Co z wami?

Lby kędzierzawe patrzą głupowato, mażą resztkami kaftanów skrwawione nosy.

— Trzeba wam pomocy?

— *It is all right!*

— To był Whippet?

Najbliższa gęba rozdziera się z uciechy.

— Co, — ale jechał!...

W olbrzymiej szerokości bulwary Indianopolisu wjeżdżamy na godzinę *lunchu*. Z potwornych czworoboków uderzają w nas fale strojnych, gwarzących niefrasobliwie dziewcząt, przetykane umiarkowanie słowianami kapeluszami młodzieńców. Samochód musi ostygnąć. Żywy jego ładunek rad się posiłić. Godzina bałamuctwa. Droga do upatrzonego etapu daleka, bo drogi bezpośrednie liche, sto kilometrów wypada nadłożyć, aby z Indianopolisu przez Terre Haute dostać się na kraniec stanu Indiana, do Evansville, bo w Evansville znajomek przyjemny, na innych bezdrożach do relacji namotany. Zresztą trzymamy się prawie kierunku. Z Evansville w dół do Memphisu i już Mississippi!

Droga ciągle wymarzona. Szeroka, elastyczna, prężna, odśrodkowo wzniesiona na zakrętach, wgłębiona dla automatycznego rozpędzania kół, przed wzgórkami sama jakby wyręczająca kierowcę. Samochód przylega mocno, sunie a nie brzęknie. Trzysta kilometrów na południe — zabawka. Tylko słońce, upał coraz żwawszy. Pragnienie dokucza, więc mięta, kilometraż się psuje. Do Evansville wjeżdżamy w potokach elektrycznego światła.

Hotel idealny. Dwunaste piętro, kaskady wody, kłęby ręczników. W dwie minuty wiadomo, że *mi-ster and mistress* Morris czekali, spodziewali się, zwątpili, więc pan pojechał do „sielskiego“ klubu, za miasto, a pani jest w teatrze, — ale będą, muszą być, bo się dowiedzą, bo się ich zawoła, bo już jest! Zjeżdżamy co tchu windą i ładujemy się do pralinowego Cadillac. Znajomek jest pociachany w ostatnim swem samochodowem spotkaniu, — prowadzi ośmiocylin-drową kolubrynę jedną ręką. Artysta, — grzmotnął kogoś po błotniku, o mało nie zmiądzzył nas między wagonami, ale oto już jesteśmy przed trawnikiem uroczej willi. Parterowy domeczek, gdzieby do takiego doszedł u nas choćby największy komornik. Tonie w różach, rododendronach hawajskich, a kryje zazdrośnie swe wyścielane kobiercami, wypieszczone wnętrze.

Panią wywołuje z teatru megafon. Tymczasem odrazu jest wszystko, — bez śladu posługi przy niewidzialnej służbie. Tu przytyk i tam przytyk. I oto rezy-

dencja zalana półtonami świateł i światełek. Muzyka wtóruje przyjęciu z oddali. Perłą się kryształą zakanami nektarami, piramidy lodów i kufy szklane lodu, mieszanki owocowe, cukry, torty, cygara na miarę prezydenta Cuby, pudła najrzadszych złototytoniowych frykasów.

Samochód odsapnął dyskretnie za oknami. Jest pani domu. Urodziwa, pełna gracji, wprost z Packarda, jakby z gotowalni wyszła. Telefon zaskrzeczał potulnie raz i drugi, — zjawiają się jeszcze dwie pary. Ochota się wzmagą, — zaczyna się brydż, amerykański brydż. Dwa stoliki, jedno rozdanie kart okrąży stolik i wygrani przesiadają się do wygrywających a przegrani do przegrywających. O robrach mowy niema. Jeżeli nadobna partnerka schowała sobie przypadkiem jedno atu, — pisnąć nie wolno. Wygraną stanowią dwie nagrody w formie jakichś cacek, pierwszą nagrodę bierze zwycięzca, — drugą, nagrodę pocieszenia, najwięcej przegrywający. Dobry ton wymaga, aby nagrody, ofiarowywane przez gospodynię dostały się gościom, tym wyróżnianym. Brydż taki kończy się punktualnie po sześciu rozdaniach okrążających. Na pieniądze prawdziwy Amerykanin w brydża nie grywa, — od tego jest poker.

Po brydżu jeszcze konfidencjonalna gawędka. Juści, — jakże tam pański byznes, a jak znów pański?

I tu moment wyczekiwany. Pan Morris, dobry sympatyczny pan Morris, — a tu nabab oczywiście, za jeden perski dywanik możnaby sobie grzeczny do-

mek saskiego kształtu a polskiego rozmachu bodaj na Filtrowej wybudować.

Pan Morris przedziwnego kruszonu nabełtał.

Byznes ma federalny. — Urząd państwowy? — Nie urząd, lecz właściwie mandat. Żadnych tytułów, żadnych pensyj, — tylko coś jakby wolny strzelec. — Strzelec? — Siedzi w Evansville, na pograniczu Indiany z Kentucky, i poluje na obszarze dwu stanów. Ma własne biuro, maleniczkie, i sprawdza, prawie na amatora, kto, ile i jakich zapłacił podatków... Szpera, docieka, sięga dziesięć i piętnaście lat wstecz, i zbiera duże procenty od podatków niewłaściwie wykazanych. Od nadpłaconych, a więc należnych od skarbu dostaje od płatników, — a od należnych skarbowi otrzymuje od skarbu. Wynosi to dość, kilkadziesiąt tysięcy co roku.

Na usta się ciśnie westchnienie, że owdzie takich „strzelców“ operuje legjon i to za psi grosz. Pan Morris uprzedza niezręczne porównanie.

Płótkami się nie zajmuje, — szkoda czasu. Patrzy rekinów. Ludzka sprawa, że ktoś przyczai sobie parę setek przy rozrachunku. Nadużycia istotne zaczynają się u góry. Tam, gdzie operują banki, gdzie hulają dyrektorzy, gdzie kotłuje się amerykański *graft*, a więc manipulacyjki na wielką skalę przy budowach, dostawach, celnych, giełdowych, pożyczkowych kombinacjach, dostawach, — tam dopiero można pociągnąć i tak, że skarb ma pociechę, a jego mandatarjusz zarabia sobie uczciwie i na tem, co prysło z robót publicz-

nych i z okrętów, i z drogi cementowej, idącej z Terre Haute do Evansville. Niekiedy trzeba dużej cierpliwości, trzeba czekać, jak na wino... Owóz sekretarza stanu, więc amerykański minister, — ciągnie, są dokumenty, — lecz ani pisać. Gdy nareszcie, gdy bodaj wyprowadzi się na tamten świat, — wówczas droga otwarta, — wówczas proste zapytanie — a jakże to urosła tak potężna scheda?... Słowem archiwalna często praca, — lecz wdzięczna... i twórcza.

Nazajutrz licha jazda po nieprzespanej nocy. Słońce praży. Cadillac pralinowy odprowadza gościnnie do promu na rzece Ohio. Wróżby drogowe niewesołe, wszak trzeba przejechać całe Kentucky i Tennessee do południowego krańca. Trakty pod psem, niby w budowie, jak w Kentucky. Do Memphisu marne paręset kilometrów, ale kołowanie na Paducah a do samego Paducah aż trzy przeprawy przez kręcącą się, a pęczniącą coraz bardziej rzekę Ohio.

Kawałkami jeszcze się wydaje, że to prześwietne amerykańskie szlaki, — zresztą jak z Kozienic do Puław, a już promy na miarę tego pod Korczynem. Późno zaczęty dzień ucieka. Marudztwa coniemiarą. Samochód zgrzyta, gumy się kaleczą na ostrych złomach. Gdy docieramy z trudem do pięknej, czystej Paduci tyle akurat czasu, aby sprawić sobie w zamokanym już składzie nową oponę. O szarej godzinie usiłujemy wykręcić resztę do dwustu kilometrów i stajemy wyczerpani w jednym z trzydziestu amerykańskich Union City.

Na trójkątnym pierożku, przy małej stacji kolejowej, mizerny hotelik, obstawiony już zwartymi szeregiem samochodów komiwojażerskich. Wszystko, jak na mazowieckich wertepach. Stare lokomotywy dzwonią, sapią, buchają kłębami pyłu węglowego w okna brudnych, podejrzanym klitek. Zgiełk, beczenie syren, łomotanie wagonów, niewyraźne wyziewy z kuchni i smutnie wyraźna pościel. Jesteśmy właściwie już w stanie Tennessee, — równie jak Kentucky, nie ufającym działaniu wiosennych „fumigacyj“ wewnętrznych.

Pierwsza smuga brzasku, zrudziała od kurzu maszyny już burczy smętnie. Wróżby drogowe lepsze. Pięćdziesiąt kilometrów wściekłego objazdu po wertepach podleśnych i korzeniach, a dalej jest cement do samego Memphisu.

Dwie godziny męki, ale dalej hajda, jakby pod Bostonem. Czas znakomity — siódma rano Memphis. Złomy białych murów, szerokie ulice zacierają wrażenie, że otóż i miasto, bijące raz po raz panamerykańskie rekordy dorocznych morderstw. Nie zatrzymujemy się, — toż zaraz Mississippi...

Wychynał nareszcie jakiś potworny „Kierbedź“ z tą różnicą, że środkiem dudnią pociągi dwoma pasmami, a na zboczach, na warszawskich chodnikach mostowych, równie zawieszonych i ażurowych... droga dla pojazdów... Maszynka płaci pół dolarka i wjeżdża niepewnie na drewniane... klawisze jezdni. Wysokość znaczna. Klawiszowe drgania wpadają w zu-

pełnie przykre trzęsienie, tuż za skośnymi kratami szoruje z impetem towarowy pociąg. Most drży, jak listek. W dole mętne, kołujące pianę rozlewisko. Nad podziw wszakże wąskie, bo oto już kępy zieleni, bo oto most żelazny się kończy... Ba, ale zaczyna się drewniane na wysokich palach koryta i zaczynają się pasma i pasemka rzek i rzeczek tej samej ciągle Missisipi. Tego drewnianego koryta jest wiele, trzy razy tyle chyba, aniżeli żelaznych przęsł.

Jesteśmy w Zachodnim Memphisie, już w stanie Arkansas. Na końcu małej osady plac i rozjazd, kilka naraz dróg zaprasza, a najmocniej wielka stacja benzynowa. Upał zaczyna być dokuczliwym. Zjechaliśmy poniżej szerokości geograficznej afrykańskiego Algieru. Samochód trzeba radykalnie orzeźwić. Wypuszczamy olej, wypuszczamy gorącą wodę, — odświeżamy się gruntownie, smarujemy, przykręcamy.

Zajeżdża z drugiej strony szary kadłub. Jest znajomość.

— Hallo Pennsylvania! — Hallo Missouri! — Nie zna pan przypadkiem mego kuzyna w Philadelphji? — Nie, a zna pan moją ciotkę w St. Louis? — Nie! — A to dopiero zbieg okoliczności!... — Więc pan prosto z Hot Springs? Właśnie tam zdążamy, jakże droga? — A no dojechać można. Trochę męczy. Trzysta dwadzieścia kilometrów, ale ostatnie ośmdziesiąt jak po szkle, cement, cement.... Dobrze wziąć do termosu. Wchodzi cztery kwarty, — będzie, choć po drodze jest wszystko. Ale, ale... proszę pamiętać,

za White River, w Carlisle, jest objazd, krótki lecz przykry... Carlisle, Carlisle trzeba uważać...

Szeroki gościniec, między szczątkami lasu ściele uprzejmie swą rozjeżdżoną nawierzchnię. Szosa nie szosa, glina nie glina, zbite to, twarde, wyboiste. Zboczami grząskie, niepewnego koloru bajora. Szczątki widocznie zalewów Missisipi i resztki lasów. Szybkość idzie na dziady, gdyż zaczyna się żwir, dokładnie dwudziestocentymetrowej głębokości nawarstwienia drobnego, ruchomego żwiru. Maszyna chodzi jak pijana. Szczęściem jest tego na szerokość tyle, co w Alejach Jerozolimskich. Jedziemy prerjami, obficie przetykanymi kępami krzewów. Od czasu do czasu łany kwitnącej bawełny, mokradła pól ryżowych lub żrałe prawie kiście kukurydzy. Coś na sześćdziesiątym kilometrze ustaje taniec żwirkowy i zaczyna się droga karbowana, w ostre stwardniałe prążki. Dostajemy razem z samochodem febry. Ale to nic, najgorszy ma być ten kawałek w Carlisle. Docieramy do budki strażniczej na White River, prawie jedna czwarta z okładem wymęczona. Most i mostowe. Taksa skrupulatnie opiewa, że „człowiek na nogach“ płaci 20 centów, „samochód z kierowcą całego dolara“ (samochody bez kierowcy niewątpliwie darmo). Otwiera się drewniana furta i wjeżdżamy wgłąb drewnianego, wysokiego żłobu, wijącego się i załamującego na drewnianych palach poprzez cały splot włókien tej samej Białej Rzeki. Pośrodku miejsce postoju dla mijania, a więc sposobność obejrzenia mostowej

konotatki. Na konotatce jest i plan drogi i wykaz odległości i napomnienie uroczyste: „Zobacz Arkansas. Ryż, nafta, jabłka, bawełna, winogrona, węgiel, brzoskwinie, djamenty, kryolit. Buduj się tutaj, będziesz bogaczem!... Tu tryskają magiczne źródła“...

Pusto, głucho w tym pięknym kraju. Rzadkie i mizerne osiedla, małe pólka, ziemia jeszcze leży odłogiem. Na obszarze równym Czechosłowacji niecałe dwa miliony luda. Gdzie niegdzie wielkie przedsiębiorstwa rolne, ale to ciągle przyszłość. Raczej jeszcze rabunek, niż uprawa. Wycinanie lasów, gospodarka termitów, pomimo świetnych warunków dla jarzyn, owoców, warzyw, nawet kwiatów, nawet dla czterdziestokaratowych djamentów.

Ale ta droga wściekła, — ale ten przeklęty jakiś Carlisle, który ma być najgorszy...

Jest Carlisle! Pęczki mizernych domków śród zajądów rozoranego na wsze strony gościńca. Przed nami tuż nadpis olbrzymi „Detour“, czyli po... „angielsku“ objazd. Strzałka wycelowana w lewo. Zawracamy z rezygnacją w lewo i jedziemy, żłobiąc w glinie koleje. Tymczasem zajady się zwężają, dostajemy się na wąskie pasemko, dźwigamy się do góry, przecinamy szyny nasypu kolejowego i posuwamy się ciągle wąską niezwykle drogą, pośród głębokich rowów, niby na „królewskiej“ pod Wilanowem.

Nikczemna jazda, ale było powiedziane, że pod Carlisle... Jedziemy dalej. Jakies poletka, kępy drzewiny i żywego ducha. Licho wie, ile tego objazdu.

Lecz oto domek nie domek, — skrzynia drewniana na wysokich palikach, dwa okienka, drzwiczki a przed drzwiczkami coś w rodzaju balkonika. Na balkoniku dwa stworzonka pucate, czarne, pstro-niebiesko spowite.

Zatrzymujemy się przed stworzeniami. Dziesięć zrzędu zapytań i jeno białka łypią lękliwie, a pucate twarze żują gwałtownie jakąś miazgę.

— Więc dokąd idzie ta droga? — Tam! — Gdzie „tam“? — Do pryczera. — Do jakiego pryczera? — Do naszego! — A gdzie główny trakt? — Wtyle! — Ten do Little Rock? — Do Little Rock.

Zbłądziliśmy. Trzeba zawracać. Wązizna taka, że ani myśli. — Chyba jechać dalej i patrzeć miejsca? — Nie trzeba, na prawo cztery bale przerzucone służą za wjazd na pole. Tędy podjechać i cofnąć tyłem na bale, byle wycelować. Samochód idzie na mundsztuk pierwszego biegu. Raz, dwa... jesteśmy na balach. Teraz... naprzód... łomot, bale zapadają się, a z nimi tylne koła. Dwa piekielne natężenia całym impetem benzyny i oto prawe koło tylne miele filozoficznie powietrze...

Apelacja do czarnych, pucatych dziewcząt.

— Zawołajcie nam ludzi. — Niema odpowiedzi. — Zapłacimy! — Milczenie. — Ruszajcie się, poszukajcie! Dostaniecie po dolarze. — Głusza.

Zbroimy się w cierpliwość. Wyglądamy żywego ducha, zabłąkanego wózka, jakiegoś Forda bodaj.

Cisza śmiertelna. Pucate twarze mlaskają apatycznie, raczą białe, wilgotne zęby.

Nowe pertraktacje, równie bezskuteczne. Na horyzoncie widać domostwo. — Więc tam pryczer? — Nareszcie odpowiedź. — „Tam nasz pryczer“.

Była obywatelka wyspy Laland decyduje się ruszyć na poszukiwania. Warszawiak z kudłatą psiną zostaje na warcie. Dwa alpenstocki służą obu oddziałom za broń zaczepno-odporną.

Biała bluzka rozplywa się w błękitie horyzontu.

Mijają długie godziny. Zmierzch zapada. Tysiąc złych przeczuc. Dłużej czekać niepodobieństwo. Niech się co chce dzieje z maszyną... Pucate twarze żują apatycznie.

Poprzez snujące się opary lekki brzęk nadchodzi z oddali. Widać konie na drodze. Ktoś nareszcie... Jeszcze chwila, z poza koni, dzwoniących ciągnionym po ziemi orczykiem, wychyla się biała bluzka, a obok niej jeszcze bielsza głowa zgarbionego murzyna.

— Jest, jest pomoc.

Stary murzyn aż chichocze z zadowolenia.

Odrąz zmiarkował, bo i łańcuch i linka jest, koni tylko trzeba było szukać daleko na łąkach. Samochód o całe dziesięć mil zabłądził, — tuż przed nasypem kolejowym był skręt na prawo i znów trakt do Little Rock.

W pół minuty, za jednym szarpnięciem przy puszczaniu w ruch motoru, samochód znów stoi sobie na drodze, pogardliwie odwrócony od zdradzieckich

balów i już się nadyma, jakby bez tych dwu dychawicznych szkapin wyratował się z bezwładu.

— Miał obiecane dolara.

— Proszę, — macie tutaj dolara i tu jeszcze...

— Panie dobry, wszak to dolara nie warte i półówki za wiele.

— Bierzcie. Dla nas duża przysługa.

Murzyn precz się wzbrania.

— Kiedy grzech tyle pieniędzy za nic...

— No, co tam, — widzę, żeście pocziwy człek, — dawajcie rękę na pożegnanie...

Czarna twarz murzyna popieleje, oczy mu łzami zachodzą.

— Pan, pan, biały człowiek, mnie niegodnemu... Boże, nigdy, nigdy jeszcze tak wielkie nie spotkało mnie szczęście!...

Suche kościste palce zaciskają się kurczowo na wyciągniętej do uścisku dłoni. Zapadła pierś trzęsie płótnianką, cichy głos chrobocze rzewnie.

— Boże was błogosław!...

Maszynka warknęła i toczy się nieśmiało w głębokich kolejach a za nią, z oddali jeszcze, idą przytłumione nawoływania:

— *God bless you!... God bless you!...*

Zmrok, bezludzie, pustka. Samochód wyraczył błyszczące ślepie i pomknął kolorowemi bezdrożami ziemi równości obywatelskiej w pięknych wynurzeniach Lincolna...

CÓRKA POKOJÓWKI

1815

Księżna d'Angoulême stężała w bezruchu. Zbliżał się znów ten najdokuczliwszy moment każdego bardziej uroczystego przyjęcia.

Już szły, już sunęły długą wstęgą, tuż za kwiatem rodów francuskich, strojne, wyfiokowane damy rewolucji, więc mieszczeni, plebejki, dziewczyni z rozstajnych dróg, wczorajsze sankiulotki przebrane za księżne, hrabiny, za marszałkowe, za generałowe.

Fezensac dowodzi, że należy wygłądać zakończenia Kongresu Wiedeńskiego, że ci parwenjusze są jeszcze niezbędni do utrwalenia legitymizmu. Tymczasem zamęt się wzmacnia, sięga nawet królewskich apartamentów, nawet jedyną córkę Ludwika XVI-go skazuje na upokarzające komedje.

Dźwięczny, melodyjny głos ochmistrzyni dworu wpadł nagle w głuchy chrobot.

— Castiglione, Reggio, Essling, Conegliano, Treviso, — skrzeczały cudaczne tytuły napoleońskiej arystokracji.

Damy chyliły się w ceremonjalnych ukłonach.

Księżna d'Angoulême ledwie kątem ust odpowiedziała.

— Księżna d'Abrantès...

Córka Ludwika XVI-go zmrużyła powieki.

— A, — wszak to pani Junot, — bardzo miło widzieć panią Junot.

Twarz księżny d'Abrantès oblała się szkarlatem. Ochmistrzyni nie dała jej ochłonać.

— Księżna Elchingenu i Moskwy, marszałkowa i parowa Francji...

Spojrzenie księżny d'Angoulême złagodniało.

— Pani Ney — zawszem pani rada. Jej uderzające podobieństwo do matki, do pani Auguié, wiernej panny służącej, świętej pamięci, królowej Marji Antoininy rzewne wypomina mi chwile.

Marszałkowa zbladła. Księżna d'Angoulême ciągnęła w zamyśleniu.

— Dobra pani Auguié nie mogła przeżyć męczeństwa swej pani i królowej. Wybrane tylko dusze zdolne są budzić tak wzniosłe uczucia nawet wśród służebnych...

Brylantowa kitka nad czołem marszałkowej zakrzyła się i pochyliła ku ziemi. Wypukłe oczy księżny d'Angoulême starły się z natrętnym blaskiem, idącym ze wstęgi szeleszczących dam i znów się skryły pod wpółzamkniętymi powiekami.

— Znajdujemy się w okresie ciągłych nieporozumień. Generała Milhaud, członka Konwentu, zbira, który własnego monarchę oddał gilotynie, ozdobiono orderem świętego Ludwika. Jutro, znów przez nieporozumienie, uhonorują morderców księcia d'Enghien. Ludzie nowi niezdolni są pojąć, że największe zbrodnie są te, co otulają się płaszczem sprawiedliwości. —

Biedna Auguié, choć tylko panna służąca, głębiej to odczuła aniżeli inni... Z prawdziwem wzruszeniem ją wspominam, — kochana pani marszałkowo...

— — — — —
— — — — —

Marszałek Ney pyknął dymkiem z cybuszka ku pochylonemu nad szachownicą kapitanowi.

— Nie poradzisz. Wywijaleś się, tłukleś, namłóciłeś mi figur i bierzesz mata. Kłania ci się kampanja czternastego roku. Pół kopy zwycięskich bitew a w rezultacie przegrane cesarstwo. W styczniu się zaczęło i w dwa miesiące było po wszystkim. Czekać, mamy dziś szóstego marca. Rok temu byliśmy przed Craonne, akurat takuteńka szaruga, a tu wałą Prusacy z Rosjanami...

— Pan marszałek na czele kilkuset strzelców dywizji Meuniera...

— Głupstwo, chłopcze, gwardje, uważasz, one dopiero się spisały. Nansouty, fiu, tęgi żołnierz, prowadził nicpoń, djabeł wcielony. A te łby kwadratowe polskie waliły a darły się, jak w ciasto. — Et, niech tam, — skończyło się, dobrze, że się skończyło nareszcie. — Marudzą ze śniadaniem...

We drzwiach stanął ordynans.

— He? Co? — Śniadanie?

— Telegram, panie marszałku!

— Dawaj. — Byle głupstwo i telegram nowomodny. — Co — co? — Dowództwo lewego skrzydła?... „Do Besançon przez Paryż... zamelduje się

w Tuilleries...“ Vavasseur do pioruna, poczytaj mi należycie...

Kapitan przebiegł szybko treść telegramu i ją go odczytywać.

— „Do jego wysokości księcia Elchingenu i“...

— A dajże mi święty spokój do stu...

— „Wyjedzie natychmiast do Besançon“...

— Kto „wyjedzie“?

— Pan marszałek — opuszczam tytuły, — „do Besançon, gdzie obejmie dowództwo lewego skrzydła, dywizje Bourmont i Lecourbe“...

— Cóż to znów za rupiecie?

— Bourmont generał szuanów, Lecourbe wykreślony z listy za proces generała Moreau...

— Piękna komitywa! I cóż dalej, cóż?

— „Jadąc przez Paryż, zamelduje się w Pałacu Tuilleries i w gabinecie ministra wojny“. — Podpisano „minister wojny, książę Dalmacji, marszałek Soult“. — Telegram wysłany z Paryża wczoraj, dnia piątego marca o północy.

— No-no, to ci wymachują teraz temi śmigami. Rozstawnymi końmi tak prędkoby nie zdążył. — Ale co, u licha, za lewe skrzydło? Czyje lewe skrzydło?

— Niezawodnie armji.

— Jakiegoś burbońskiego kapłona. Nie, żeby taką szaradę nabzdurzyć. Tyle wiadomo, że jeszcze mnie na pół żołdu nie chcą. Lecz jeżeli to coś na odczepne, — ani mi się śni. Lepiej tutaj w Coudreaux salatę mustrować a dzieciaków patrzeć.

Marszałek szurgnął stolkiem, pyknął z cybuszka i zakonkludował.

— Zobaczymy. Tymczasem rozkaz. Strzemienego i ruszamy.

— — — — —
— — — — —

Dzień prawie i noc zmitrężył marszałek zanim do był się z mgieł, z pluchy marcowej i do zajazdu pod „Białym Koniem“ się doślapał.

Paryż ledwie się ocykał. Marszałek był znużony, bo oka nie zamknął. Wspomnienia go dręczyły. Doskwierały kłopoty a rozstanie się z marszałkową do żywego kolnęło. Dziwne ją smętki zdjęły. A wszystko przez te jaszczurki tuilleryjskie, co jej tak dopiekły na ostatniej recepcji u księżny d'Angoulême. I niewiadomo właściwie o co poszło. Na wyjeździe raz jeszcze próbował. Ma być u króla, więc mógłby do oczu. Lecz się zacięła i ani weź. — Dla nas Pałac Tuilleries już przeminął. — Ma słuszność, ale nie tylko dla nas ale i dla całej Francji. Dostyc tych majestatów. Powinno być jak za Hocha, jak za Klebera. — Złote serce. Po tylu wspaniałościach ani zaszemrze. Tfy, lada pułkownikowa lepiej się ma. Dotacje, włości, zamki udzielne zostały za górami, za lasami. Licz, marszałkowo, ziarnka soczewicy i ceruj dzieciakom pończochy. — Do pana Butardy przedewszystkiem, ostatnie cztery tysiączki wygarnąć. Inaczej głupi folwarczyna wiązki siana nie urodzi. Chciała

kitkę swą brylantową do lichwiarza. — Ani myśli. Raczej swoich własnych błyskotek się pozbędzie. — Tymczasem uczyniła się wspaniałość na dwu dywizjach, garnizon podlegszego rzędu i branie się za bary z oficerstwem, co uczciwej batalji nie oglądało.

Dopiero kiedy się marszałek wychlustał, rozgrzał winną polewką, wielkiego mundura sięgnął, nieco się rozchmurzył i zwykłego impetu chwycił.

W pałacu chyba na dziesiątą najwcześniej. Więc zamiast marudzić, do pana Butardy odrazu, niech kapitan zostaje.

I marszałek pióropusza galowego nasadził, omotał płaszczem sychy i gwiazdy i ruszył na miasto.

Nie śpieszył. Ranek był wczesny. Droga niedaleka.

Szary lud i sklepikarski autorament, który już się krzątał gorączkowo, zaczął gapić się ciekawie na biały pióropusz, lecz marszałek kołnierza podniósł i sam z upodobaniem rozglądał się po znanych kątach, po ucieszej pstrokaciźnie ulicznej.

Wystawy sklepowe raz po raz go nęciły. Chłopcom coś należało i dziewczątkom i marszałkowej. Można by przez okazję wyprawić. Chociaż pod bramą Saint-Denis większa obfitość.

Kolorowe plamy znęciły marszałka do szafki antykwariusza.

Ney zatrząsł się ze zgrozy.

I jeszcze... ten. — Napoleon! — Napoleon pierwszy konsul. — Napoleon w Egipcie. — Do stu pioru-

nów. — Bitwa pod!... Cóż za bezczelność. — Marszałkowie Francji... I znów ten, ten... I ma być ład.

Ney targnął się, kołnierza nasunął i zawrócił wprost do kancelarji notariusza Butardy.

Pan Butardy ucieszył się marszałkowi.

— Doskonale, załatwiona rzecz, jutro wysłę pani marszałkowej cztery tysiące franków czyli dwieście luidorów a dokładniej może dwieście napoleonów...

Marszałek udał, że nie dosłyszał konceptu. Notariusz podał pióro Neyowi i wskazywał miejsca kędy dokument podpisami naznaczyć. Kiedy formalność była dokonana, pan Butardy machnął fularem po zatabaczonym nosie.

— I co pan marszałek o tem wszystkim sądzi? — No o tem, o tem wylądowaniu?

Ney wytrzeszczył oczy na notariusza.

— O jakim wylądowaniu?

— Więc pan marszałek nie wie? — Proszę, oto dzisiejszy „Journal des Débats“, proszę, z dnia siódmego marca... O tutaj, — „Bonaparte uciekł z wyspy Elby. Ten człowiek unurzany krwią waży się wyciągać rękę po władzę. Ośmielił się stanąć na ziemi, której się wyrzekł na zawsze. Bóg pozwoli, aby nikczemny żołdak z Fontainebleau zginął śmiercią zdrajców“...¹

Marszałkowi zimny pot wystąpił na czoło.

— Tu, dalej, dekret królewski, zwołujący izby,—

¹ Autentyczne.

a tu rozkaz, aby zdrajcę i rebeljanta chwycić i, jako wyjętego z pod prawa, na gardle karać...

— Szalony, szalony człowiek. Rewolucję, wojnę domową gotów rozpętać.

— Hm, cóż, z Napoleonem niema żartów.

Marszałka poniosło.

— Co niema żartów? Z kim niema żartów do stu tysięcy piorunów! Ze mną sprawa, rozumiesz pan, panie Butardy...

— — — — —
— — — — —

Kiedy nareszcie skrzeczająca karjolka doclapała się do bramy pałacu królewskiego, Ney żwawiej odsapnął.

Mizerna parada. Nie tak się tu zajeżdżało.

Lala burbońska się nastęrczyła.

Do kogo? — Co, do kogo? — Jak do Tuilleries — więc do króla, *sacrebleu!*

Na schodach cały pluton białych kamaszy.

Marszałek chciał się jędrniej obruszyć — ani sposobu. Czterech oficerów straży przybocznej — dwadzieścia czołobitności. Znają mores.

W antykamerze sekretarze a tuż za nimi pierwszy szambelan.

— Jego królewska mość się spodziewa, jego królewska mość czeka.

Ney spojrzał hardo.

Bierz licho, nie nowina z królami się rozmawiać.

Utnie prosto z mostu. Byle komu nie służywał, Francji służywał, za Francję się bijał a zresztą furda, porządek musi być.

Marszałek po wojażu, respekt, ukłon powinny, głowa do góry. Sambra i Moza do kroćset, z karabinem w rękę w pierwszym szeregu.

Król rękę wyciąga, za ramię ujmuje, sadza na przeciwko siebie.

— Mój drogi książę, jesteś, jesteś, — w tobie ufność, w tobie nadzieja...

Ani tchnąć, ani sposobu do rezerwy umknąć. Król już panią marszałkową się frasuje, o dzieciśka troszczy. Czasy, ach znów czasy. Z Kongresem przepierki a tu znów warcholstwo, burzycielstwo.

Ney upatruje momentu, aby przypomnieć, kto Bonapartego w Fontainebleau do muru przyparł, kto go do podpisu zniewolił, — król już sam chwytą.

— Nigdy nie zapomnimy, ile jesteśmy winni księciu-marszałkowi. Rozsławiłeś imię Francji bohaterkiej, świeciłeś przykładem odwagi bez granic, byłeś tym, który w stanowczym momencie umiał położyć kres uzurpatorstwu. Ku tobie pogląda nasza dynastia, pogląda ojczyzna...

Marszałkowi oczy rozgorzały, dłużej nie strzymał.

— Najjaśniejszy panie, w żelaznej klatce przywiozą ci Bonapartego...

— — — — —
— — — — —

Ney spadł jak burza na Besançon. Sfukał generała za nieład i nakazał zbiórkę garnizonu a przede wszystkim oficerów wziął na spytki.

Lichy garnizon, uboga załoga. Wszystko w rozgonie na drodze ku Lyonowi. W koszarach będzie z pięciuset żołnierza i to niewyraźnego humoru. Gawędy chodzą, bajdy przeróżne. Nikt nie winien. Mówili, że głównym dowódcą ma być bratanek króla, księżę Berry, teraz, że brat, księżę d'Artois. Bonaparte jest w Grenobli. Gdyby ściągnąć wszystkie pułki, można liczyć cztery tysiące. Artylerji niema, ale będzie. Najdalej wysunięty oddział w Lons-le-Saunier, w podgórskich dolinach.

Marszałek odrazu rozstrzygnął.

Nie księżę Berry i nie księżę d'Artois, — lecz księżę Elchingenu i Moskwy dowodzi. Ruszać w tej chwili do Lons-le-Saunier, tam główna kwatera. Furgony, amunicje na noc w drogę. Rekonesanse wysunąć za Bourg, w stronę Lyonu, aby zważały, czyli wypadnie za plecy ucapić czyli za żeberka potrząsnąć. Teraz żadnych wywodów, — do swoich oddziałów i w drogę, marsz.

W Lons-le-Saunier raźniej się zaczęło. Trzy pułki linjowe, jeden dragonów, jeszcze cztery w pobliżu. Coś przynajmniej. Żołnierz stary, kwaśny ale na dobre słowo zęby szczerzący. Wzamian im wyższa ranga tem większe utrapienie. Nawet generałowie łążą z kąta w kąt, wzdychają, a co który gęby uchylili już czka Napoleonem.

Marszałek poszedł na ostre. Bezczytność doskwiera, tedy w rozgony. Lustrować, pilnować sztabu, wysłać sztafety, zbierać raporty, patrzeć intendentów, opatrywać broń, muszterunki tarabanić.

Lecz choć się marszałek srożył, a przecież raz po raz jeżeli nie Lecourbe to Bourmont już mu sterczą, nowiny znoszą, języka prowadzą — chłop, co z pod samych Alp jechał, przekupka z nad Rodanu, jakaś wystraszona baronowa z końca świata. Aż Neyą zdjęła pasja.

— Co mi tu panowie bajecie. Co? — Żołnierze nie pójdą? — Za mną nie pójdą? — A jakże się to, według panów generałów, prowadzi rozkapryszone szeregi? — Rozkaz zprzodu a nabite armatki ztyłu. — Mój adjutant, Vavasseur, akuratniej wam wyłoży. — Bonaparte się zbliża, — czegoż miałby się oddalać. — Soult? — Marszałek Soult podał się do dymisji? — Więc jest Clarke. — Hrabia d'Artois wyjechał z Lyonu? — Nie będzie przeszkadzał.

Na wieczór przyprowadzono marszałkowi pana Boulouza, lyońskiego kupca, wystraszonego, bełkoczącego trzy po trzy.

Bonaparte zdobył Lyon.

Jakto zdobył? — Kiedy zdobył? — Szwadron gwardji runął na most. — Ryknął — niech żyje cesarz — i skończyło się.

Neyowi uderzyła krew do głowy.

— Macdonald, trutniu jeden, Macdonald dowodził!

— Marszałek Macdonald uciekł a garnizon stanął do przeglądu. Cały Lyon wyległ na spotkanie. A on nic, w szarej kapocie, objechał szeregi i powiedział: — Chłopczy, z łapami w kieszeniach ruszemy do Paryża.

— Stary kpiarz.

— Jeszcze zrazu, cichaczem pomrukiwano, ale kiedy rzucono pęki proklamacyj to nawet rojalistów wzięto... Taka właśnie proklamacja.

Ney wziął proklamację, rzucił okiem, wykrzywił się.

— Wytarte frazesy. — Dosyć. — Siedemdziesiąty szósty pułk wysunie przednie straże za Bourg. Do Chalonsztafeta do generała Heudelet. Oficerowie skonsygnowani w koszarach. Podwójne warty. Rozdać ładunki. Piętnasty pułk wyciągnie o świcie za siedemdziesiątym szóstym.

Bourmont chciał zameldować markiza de Saurans, adjutanta hrabiego d'Artois, marszałek nie dał mu dokończyć.

— Co mi generał z markizem. Niechże umyka ze swoim szefem. Kto chce dowodzić ten musi trwać na stanowisku. Emigranci, co przez dwadzieścia pięć lat szczuli całą Europę na własną ojczyznę, chcą rządzić armją! Zdechłego arystokratę w buljony generalskie wystroją i myślą, iż żołnierz takim pajacom dotrzyma. A jak mi ten warjat łba każe uciąć, to będzie miał rację. Tymczasem czuj duch, niech mi który

piśnię, — kula w łeb, do stu tysięcy piorunów zamarkanych!

W czterech ścianach swego prowizorycznego gabinetu marszałek nieco ochłonął.

Halsztuka rozwiązał, mundura rozpiął, — zezowało mu.

Gamonie burbońskie. Nigdzie bystrzejszego pojęcia. I Macdonald też miał głupie szczęście, — Poniatowski się utopił a on przepłynął, aby uciekać z Lyonu przed tym warjatem. Proklamację wydał. Jest, jest... tratata, tratata... I świeczki jak umarlakowi. A pisze, niech go pioruny. Żeby się w Tulonie nie wystrychnął, zostałby ani chybi jakim skrybą...

Marszałek ciekawiej wpatrzył się w druk proklamacji.

— Hm, zawsze umiał... „Zedrzyjcie te kolory, które naród odrzucił a które służyły do łączenia wszystkich nieprzyjaciół Francji“... Dobrze powiedziane. — „Weźcie napowrót orły, które mieliście pod Ulmem, Austerlitz, Jeną, Eylau, Wagram, Friedland, Tudelą, Eckmühl, pod Smoleńskiem, pod Moskwą“... Kanalja korsykańska. — „Życie jego jest waszem życiem... jego honor, jego sława jest waszym honorem, waszą sławą...“

Ney poruszył wargami, spazm chwycił go za piersi.

Czytał i płakał.

— — — — —
— — — — —

Pobudka. Garnizon Lons-le-Saunier porwał się na nogi.

Czworobok.

Pasma drgnęły i jęły się zwierać, chmurne, ospale.

Marszałek wyszedł nareszcie z głównej kwatery.

Wielki mundur, krwawa wstęga legji, buława w ręku.

Kiedy sztab otoczył marszałka, Vavas seur zdołał się przysunąć.

— Oficer szwoleżerów gwardji w przebraniu ważne przywiózł depesze.

— Nie mam czasu.

— Panie marszałku, — raportował z drugiej strony generał Bourmont, — pułk siedemdziesiąty szósty...

— Zameldujesz później.

Załomotały tarabany, wrzasnęły fajfry, zagrały trąbki.

Ney wszedł w czworobok, skinął ręką, milczenie zaległo.

Marszałek powiódł dokoła rozognionym wzrokiem.

— Żołnierze, — huknął stalowy głos, — prowadziłem was nieraz do zwycięstw... dziś powiodę was do Paryża, do stolicy Francji.

Czworobok zatoczył się.

— Niech żyje cesarz! — Niech żyje Ney, do stolicy cesarza Napoleona!...

— Nasz, nasz wódz ukochany!

I prysły szeregi, złamały się i skotłowały bataljony i żołnierze rzucili się do rąk, do nóg bohatera Wielkiej Armji.

— — — — —
— — — — —

Sto dni, jeszcze sto dni i ostatni błysk chwały.

Wreszcie mrok, ponury rozgwar grabarzy i zemsta.

Neya pojmać, Neya uwięzić, Neya sędziom wydać.

Ney zdradził, Ney walczył nikczemnie, jak lew, Ney śmierci szukał pod Waterloo, trzeba, aby ją znalazł, ten buntownik i rebeljant, ten żołdak bonapartowy, syn bednarza, udający po świecie marszałka Francji.

Sąd parów Francji rozstrzygał, a raczej miał nazwiskami zdecydować o tem, co było zgóry rozstrzygnięte.

Żadnych względów, żadnego zmiłowania.

Kapitulacja gwarantowała życie i mienie rozbitkom z Waterloo. Ale nie takim Neyom, którzy, jak to wykwinie dowiódł prokurator królewski, jakiś pan Bellart, był właściwie cudzoziemcem. Urodził się bowiem w miasteczku zagłębia Sarry, miasteczku już oddanem Prusakom. Zresztą parom Ludwika XVIII-go pilno było oplwać samych siebie.

O godzinie trzeciej rano zapadł wyrok.

O godzinie dziewiątej, pod parkanem ogrodu Luksemburskiego, marszałek spojrział w wymierzone doń lufy karabinów i zakomenderował po raz ostatni:

— Chłopcy, prosto w serce!

— — — — —
— — — — —

W kilka dni później, gdy księżna d'Angoulême, przy rannem śniadaniu, według zwyczaju, przeglądała korespondencję, napieczetowaną mitrami książęcymi, — naraz wyrzała ku niej mała karteczka z napisem:

„Ludzie nowi niezdolni są pojąć, że największe zbrodnie są te, które otulają się płaszczem sprawiedliwości“...

Księżna nie mogła się oprzeć zdumieniu.

— Cóż to znów za aforyzm. Zaraz, jest podpis!...

Ochmistrzydni dworu pomogła z boku.

— Marszałkowa... marszałkowa... Ney...

— Wiesz, to jest niezrównane, — na taką bezczelność doprawdy mogła się zdobyć tylko córka pokojówki!

M E C E N A S

W alenty przeczesał czupryny, złem okiem spoj-
rzał na wyzierającą z pod lampy żółtą kopertę.

Ostatnie wiadomości z kraju. Zaliczek się nie
udziela. Fuszer księgarski. Chce zbierać, a nie chce
siać. Ruch wydawniczy ustał, — jakby się kiedy za-
czął. Impas, impas głupi, nikczemny.

Były czasy — byli ludzie.

Paryż wrzał, gorzał. Ścierały się prądy, skry try-
skały. W sztuce, w literaturze, ba, w polityce kotło-
wisko istne. Bezpośredniość kruszyła okowy. Ani się
opędzić, ani nastarczyć. Wszędy ciągnęli. Tu odczyt,
tam konferencja, ówdzie posiedzenie, a gdzie się
zwrócić, tam i posłuch, i ciekawość i zrozumienie na-
leżyte tego, co zawsze najpilniejsze. Nie brakło chętnych,
nie brakło mecenasów. Bodaj Ruścielecki. Na
wszystko miał. Kabaret to kabaret, kosz szampana, —
niech dwa kosze, — myśl, — więc dobra myśl, więc
na myśl i na prospekt, i na druk, i na resztę. Burzewi-
cze, naprzykład, sypali, nie żalowali. Zrazu ospale,
lecz nabierali rozpędu. Ileż przytem siedzib naherbo-
wanych, wykamerdynerowanych. Tu książę, tu hra-
bia a tam baron i ciągle horyzont. Iluż zubożonych
różnie, przystojnie osiedziałych na dochodach. Ten po-
niedziałki, tamten wtorki, ów środy uprawiał, cały

tydzień otworem, byle czarność wizytowa odprasowania się trzymała, codzien inna sposobność. A ta pęczniejąca rzeźbo-malatura chciwa biografij, monografij, notatek, wzmianek a dopieroż czeredy pyzających adeptów, tych bajkowych plamiarzy, kolorystycznych symbolistów, kubistów, prymitywistów. Choćby tylko przejezdni, a choćby ci brzuchacze zapodolscy, stepowem złotkiem dzwoniący po bulwarach! Ba, i gdzie się szło — tam się reprezentowało, Francja mówiła tak, a Polska tak. Jeżeli nawet było skrócić, — można było i do dyrektora całego banku wycelować, i taki nawet skwapliwie wypominał, że jego prababka była *comtesse de Pikuleński* i była właścicielką co najmniej połowy *Duché de Vistulie*, — i taki miał gest.

Dziś? — Głupie dziś.

Pustka, cmentarne znajomości. Claude-Monet zeszedł na muzealnego burżuja, Picasso wydał córkę zamąż, Mattis hušta wnuków, a Colette Willy chłopce razem ze swemi kotami mleko nieprosto od krowy. Nowe kierunki, linje, bryły? — Kazby arabskie, Timbuctu, geometryczne cudaki. Dwa tygodnie się gap — kropli feljetonu nie wyciśniesz. I kogo to obchodzi? Kloc, a pod klocem stoi drab i nazywa się jak mu się podoba. Dawniej pierwszy z brzegu knociarz więcej zdołał. Jak uczynił gipsowego sympozjona, to cała Lutecja dygotała. I zresztą niczego szerzej ani tknąć, bo do wszystkiego albo już jest „żygolo“ delegowany, albo nadjeżdża ancymonek warszawski. Urząd ma,

obżarstwo niedjetyczne ma, wstęp ma i tylko on ma prawo. Naszasta złociszów, coś tam napropagandzi i znów głucho wszędzie. Pan radca, pan nadradca, pan referent, pan upoważniony; — niech się pod Wersalem urodzi bobo z trzema dziurkami w nosie, nie zdążysz pisnąć, już expresse do każdej dziurki posel nadzwyczajny. A dawną „kolonję“ jakby wymroziło, ni pana, ni wasana, zresztą robociarz albo stypendysta. Jeżeli gdzie w ostatku rodak znacznie-szy, to na pierwsze słowo, — państwo. — Jest państwo, niechże państwo. Jest tego państwa z pół tysiąca nad Sekwaną, — niech się turbują, kiedy im płacą. — I nikt frankiem nie mrugnie.

Westchnął ciężko, zmacał garści niklo-koprowiny, narzucił pelerynę, kapelusza nacisnął i lampę zaprztykał.

I powlókł się.

Tak czy owak a w kawiarni, u „Dwu Magów“ zawsze bodaj Michałek.

Tymczasem w zwykłym kąciku lustrzanym, obok niezawodnego Michałka kiwnęła się biała głowa samego pana Władysława.

Walenty się nieco odstrychnął, dawne kwasy go ubodły, lecz cofać się nie wypadało. Zresztą pan Władysław był tak ożywiony opowiadaniem, że nawet dość przyjaźnie się odklonił.

Walenty zasunął się delikatnie za marmurowy stolik i pogrążył w tulipanie „*café nature*“. Nie ciekaw był starych anegdotek. Aż go poraził wykrzyknik Michałka.

— Chyba Sępowiecki!

Pan Władysław roześmiał się.

— Zgadłeś, zgadłeś... I ploszę sobie wyłobłazić, przychodzi do mnie ten *monsieur* Dupiston po infołmacje. Naciskam go mocniej i jest, jest, zjawił się, pisze, wydaje bloszuły, dłukuje manifesty, wyrzuca pieńiądze za okno...

— Więc Adam, Adam Sępowiecki? — dziwił się Michałek.

Walenty nie wytrzymał.

— Hrabia Adam z Matulenic? — Grosza nie ma, u bolszewików fortuna zmarniała.

— Za pozwoleniem, — a Gołozduny w Nowogłódzkim, a Gdyka na Wołyniu, a Kajciszki, a w Londynie jeszcze... Były miljony i jeszcze zostało kilka. Ligę łefołmuje, Eułopę przelabia i pamflecistów żywi...

— *C'est dégoûtant...*

— I tu, tu, w Paryżu mieszka taki? — frasował się mistrz.

— W Głand Hotelu apałtament, jakby wielkiej wojny nie było.

— Przytem brózdzi, niejeden gotów wziąć na serjo.

— Kiedy jeszcze tysiączkiem smyłgnie.

— Do czubków zamknąć.

— Na emigłacji nigdy wałjatów nie błakło.

Walenty się nachmurzył. Pan Władysław skręcił do wspomnień o jednym Korabiu, co tłoczył księgi

na wszelkie życiowe tarapaty gospodarskie, polityczne, towarzyskie i tłoczył je na frontowych stronach papieru, aby nikt z jego czytelników z oglądania odwrotnych stron uchyby nie zaznał, — i jak je, od czasu do czasu, lokajowi kazał rozdawać na ulicy każdemu pięćdziesiątemu przechodniowi. Albo jak inny znów, co u Fayarda Historję Rewolucyj Polskich drukował, a zabrakło mu pod ręką ilustracyj, tedy grzmotnął sobie Ludwika XVI-go i podpisał „Lelewel“, — chwycił wizerunek zamczyska kastylijskiego i uczynił „Cytadelę w Krakowie“, — pod Stanisławem Leszczyńskim zrobił „Stanisława Augusta“, — na murach Wiednia postawił greckich „ewzónów“ w spódniczkach, a wjazd do Warszawy ozdobił piramidą i czterema pęczkami Italjanów...¹

Walentemu się nagle zackniło. Skinął na garsona, brzdęknał brązowym franczkiem. Michałek się zaniepokoił.

— Jakże bo, panie Walenty, niby właściwie mieliśmy...

— Muszę, — bardzo ważne *rendez-vous*, przytem i ten, na pocztę. Więc ani chwili, panowie darują *je regrette infiniment*, ale już muszę...

— — — — —
— — — — —

Pięć dni minęło, szarych, zawilgłych, listopadowych dni.

¹ Histoire de la Révolution Polonaise par le comte Stanislas Aramiński. Paris. A. Fayard et Co. Libraires-Éditeurs 1864.

Walenty na krok z domu nie wychodził, byle czem się żywił. W kontemplacjach pograżony czegoś jakby wyglądał, czegoś się spodziewał.

Znikąd znaku, znikąd choćby listu.

I znów wieczór i znów powszedni wrzask gazeziarskich „camlotów“, wdzierający się z głębi uliczki i znów dreptanie natrętne niezapłaconej posługaczki i znów skrzek dokuczliwy:

— Więc to wszystko na dzisiaj?

— Wszystko.

— Dziś już siedemnasty.

— I od samego rana.

Mruknęła „*bonsoirem*“ i stuknęła drzwiami.

Walentego poderwało.

Trzeba, trzeba natychmiast, coś trzeba. Chyba do Filipskiego, generałem czy admirałem już został, może własnemu cygaństwu przyjaźni dochowa. — Co tu się ludzi! — Głupstwo, głupstwo zaświtało. Ostatni z dwu egzemplarzy na chińskim posłał, posłał temu Sępowieckiemu. Dedykacją się skompromitował. I choćby bilet wizytowy. — Mógł nie odebrać. — Poleconym wyprawił. — A może się Michałek zaczął, może go ubiegł? Powinien był z kawiarni nie wychodzić, doczekać ostatka rozmowy. — Przyśnił mu się mecenas! — Jeden Filipski, niech bodaj do jakiegoś warszawskiego „emesu“ zaproteguje.

Chwycił za ćwiartkę papieru, dwie zmarnował, wreszcie stanęło, jak trzeba: „Filipsiu kochany, dostojniku serdeczny. Dawno już...“

Do drzwi załomotano energicznie.

— Co to? — Kto?

— Właśnie jeden pan, — anonsowała stróżowa.

Na tle jasno oświetlonej klatki schodowej zarysowała się wysmukła sylwetka.

— *Cher maître, cher maître*, — zawtórował nosowo-piskliwie przytłumiony głos.

Walenty ledwie mógł uwierzyć.

Był, — siedział już wykwintnie na brzeżku fotela, — czarny żakiet, chryzantema w butonierce, paletko na rękę, paljowe rękawiczki, laska z błyszczącą gałką, na kolanach bibulaste pudło, oblicze pociągłe, krucze wąsiki, jeszcze bardziej krucza peruczka, oczka zaczerwienione a skrzące, — może pięćdziesiąt cztery, a może siedemdziesiąt pięć, — siedział i mówił.

— Zawstydzony, upokorzony dobrocią mistrza... „Stanze“!... Przepiękne, wspaniałe! Rafael, Raj utraczony, podwórzec świętego Damazego, jakbym widział znów... Talent, pióro, ach, jakież pióro!...

— Hrabia dobrodziej...

— A ta... Habakuka, — niezrównana, — co za potęga Ha-ba-ku-ka!...

— Przepraszam, bo...

— „Jak Habakuka w Chaldejów przepiorunne wróże“, — to jedno warte całego dynamitu Nobla! Ach, taki dar posiadać i dopiero napisać do Edwar-da!...

— Do, — do?...

— Pss, — jesteśmy sami, — ale ściany. Lecz zacząłem, proszę tu przeczytać.

Wyciągnął z kamizelki skrawek papieru i mistrzowi podsunął do oczu. Walenty nie zdołał odcyfrować. Hrabia nachylił się i szepnął:

— Hej, sir Edward Grey!

Walenty się stropił. Sępowiecki zamrugał porozumiewawczo.

— Już my to z mistrzem uczynimy. — Lecz ja z prośbą do małżonki, aby raczyła pozwolić nam łaskawie na skromny obiadek, a na osłodę samotności ważyłem się pudełeczko...

— Właściwie, hrabio dobrodzieju, z powodu...

— Nieobecna! — Doskonale! — Sami się urazymy!

Zatargał wstążeczkami na pudełku.

— Delicje, od „Markizy“, — proszę! Te bomby z likierem. Niech mistrz odrazu serwetkę nabierze. I ja także. Te sęczki pistacjowe. I jeszcze tych pomadek, a ten nęcący orzeszek i tego z pomarańczką!

Walenty poddawał się uprzejmej tyranji. Hrabia na drugiej serwetce papierowej drugą piramidkę nastroszył, zamienił szybko piramidki i jał chciwie zjadać wybrane przez gospodarza czekoladki.

Walenty nie zdążył się zorientować, gdy Sępowiecki już zerwał się z fotela:

— Więc jedziemy. Chwili niema do stracenia. Szmat drogi. Nie marudźmy.

W przedpokoju uścisnął mistrza za ramię.

— Ach, jak się cieszę! Zbudujemy, z Habakuką pójdziemy! Uch, już od tygodnia żyję bananami i wodą. Bardzo się cieszę. Niech mistrz tylko za mną, — ja z nimi potrafię!

Walenty chciał dorzecznieszą nawiązać rozmowę, lecz hrabia nie słuchał, biegł przodem, taksówkę ucapił i kazał jechać na wielkie bulwary.

W taksówce ledwie ust uchylił, już go unieruchomiło silne szarpnięcie.

— Bolszewiki szoferują, — ostrzegł groźny szept. Więc milczał.

Dziwak i oryginał. Niezawodny oryginał. Chyba i manjak, cóż, wśród prawdziwych mecenasów nigdy warjatów nie brakło. Nawet sympatyczny, ma ruch wielkopański, lecz to zależy.

Tymczasem na wielkich bulwarach hrabia kazał raptem przystanąć, rzucił banknot szoferowi, skinął na Walentego i ruszył pędem w głąb bijącego potokami światła pasażu, tu przesmyknął się wśród tłumu i wybiegł bocznym wyjściem na jakąś mroczną uliczkę. Z tej uliczki wydostał się na gwarniejszą i znów do taksówki i tym razem do ogrodu Luksemburskiego. I zawsze w głębokim milczeniu. Przed ogrodem jeszcze niespodziewane zatrzymanie kierowcy i marszowem tempem do tramwaju, idącego w stronę placu św. Michała. Na trzecim przystanku zmiana. Z tramwaju do drzemającego zabytku starożytności, do melancholijnie wykrzywionej jednokonnej karetki.

W karetkę hrabia odetchnął z ulgą.

— Jesteśmy nareszcie, dwadzieścia minut i będziemy na dworcu lyońskim. Doskonale jedzenie i tłok, a tłok jest najważniejszy. Nie są w stanie dopilnować. Aleśmy ich wyprowadzili w pole. I zapomniałem na śmierć. — Proszę mistrza, moja ostatnia publikacja. — Niech mistrz lepiej do portfela. — Korytarz! — Polska będzie korytarzem, ani myśli! Morze, całe morze, a do morza trzeba Anglika, tak. Niech się Anglik żeni z Jagiellonką...

— Ba, gdybyśmy mieli Jagiellonkę...

— Toż jest tego, ile chcieć. Pół miliona przyrostu rocznie! — Mój braciszek, Walerek, taką sobie genealogję uczynił, że się od jakiejś Gryzeldy Rzepiszanki wywiódł. Cóż sobie Jagiełło, czytać i pisać może nie umiał. Ale o tem ani słowa. Między nami! — Już bananów nie mogę. Co robić. Dawniej czyhali tamci, a dzisiaj ci. *Kamerherr jewo wieliczestwa*. — Ciekaw jestem, co tam dzisiaj. — W Matulenicach miałem kucharza, — złodziej, pijaczyna, ale, mistrzu drogi, jak do pieczeni chlusnął Martela, jak nadział indyka, jak cielęcinę słoniną obłożył, — rozplywało się. Zginał. Powiesili go w wędzarni.

Droga na dworzec lyoński dłużyła się nieznośnie. Hrabia monologował, przeskakiwał z przedmiotu na przedmiot, niczego dociec, niczego wyrozumieć.

Nareszcie karetka się doślapała.

Sępowieckiego znów poniosło.

Wysunął się naprzód, dopadł schodów i wyskoczył jak kula na pierwsze piętro restauracji.

Walenty aż się zawstydził takiej manierze.

— Niech mistrz zajmie stolik, proszę zająć stolik, — upomniał rozgorączkowany hrabia, a sam wykręcił i zesunął się znów ze schodów poza rzeźbionym kredensem.

Lecz, o dziwo, cała sfera służby wypadła z czło-bitnościami.

— *Mon prince*, gdzie sobie życzy, *mon prince*...

Troszczyli się o zwierzchnie odzienie, sadowili, podsuwali krzeselka, znosili co tchu zastawę.

Maitre d'hôtel uwijał się pieczołowicie.

A więc miano respekt dla Sępowieckiego. Walenty śmieiej się rozglądał. Były to, oczywiście, salony dla wytworniejszych gości. Hrabia tymczasem nie pokazywał się. *Maitre d'hôtel* zauważył odruch niepokoję.

— *Monseigneur* zawsze lubi osobiście się fatygować.

Mistrzowi pojaśniało.

Pan, całą gębą pan, niech sobie „czere mere“, w każdym razie materjał. Do komitywy dojść można, nawrócić, skierować, pożytku przyczynić. Bywali już i tacy, niezupełnie, ale bywali. Lecz cóż to mu wetknął do kieszeni za „ostatnią publikację“.

Walenty nie zdążył zajrzeć, bo oto już cały korowód dosięgnął stołu. Przodem kucharz z olbrzymim półmichem, a za nim czterech kuchcików z salaterkami i srebrzystymi wazkami, a na ostatku Sępowiecki w pełnym rynsztunku laski, palta, cylindra

z dwiema butlami mleka i miską kryształową przedziwnego kompotu.

— Mamy, — co się dało chwyciłem. Ustawiać, nie ruszać mi! Co mistrz pije? — Porto. — Starego Porto! — Koniaku? — Dawać! — Niech sobie sto lat. — Jesiotr. — Pycha! — Nie, najpierw drogiemu mistrzowi, więcej, jeszcze dolożyć, no jeszcze majonezu. — I mnie, tak... Szklanki do mleka...

Dania były osobliwe, czegoś splątane. Ryby na dwudziestu, sałat różnych pięcioro, kompotu dla kopy, sery, konfitury, a mięsa ani kawałka.

Hrabia zapraszał gości. Nalał mu szklanice portweinu, a obok równie wielką szklanice mleka mu przystawił.

— Niechże mistrz spróbuje tego „porta“. Właśnie na czczo. Ja za chwileczkę... bardzo proszę...

Walenty pociągnął tęgiego hausta, mlasnął z upodobaniem. Sępowiecki nieznacznie zamienił talerze z jesiotrem. Mistrzowi czegoś się zrobiło nijako.

— Jakże? Jakże drogi mistrzu?... Czy mistrz doznaje?...

— Owszem, znakomite...

— Proszę spojrzeć, — bo, w razie czego, mamy pod ręką mleko. Nie jest to środek radykalny, ale osłabia działanie, może nawet wyratować.

Walentemu uwiązał kęs jesiotra w gardle.

Hrabia nie zważał. Pograżył się w swoim jesiotrze, chłonał go łapczywie, doprawiał sałatami, nabierał więcej, a gościowi kopiasto przykładał, a lał

weń portwein. Za czwartym kieliszkiem, jeszcze raz wpił swe świdrujące oczka w mistrza i sobie nareszcie nalał.

Walenty usiłował sprostać Sępowieckiemu. Chłeptał kompot po jesiotrze, zajadał sędziwego *camemberta*, łagodził jego ostrość potrawką z homara, przegryzał konfiturami i wracał uprzejmię znów do jakowejś sałatki. Wreszcie zakrapiał ten nieład kulinarny portem aż się doczekał koniaku i kawy.

Sępowiecki teraz poweselał, humoru nabrał. Oczka mu jeno bardziej poczerwieniały, a policzki w białe się wystroiły plamy.

Maître d'hôtel naprzykrzał się pokornie.

— Może pulardka, kuropatewki, perliczka?...

— Odejdź szatanie!

— Gotów jestem w oczach *monseigneur*a spróbować.

— Znam was, nic z tego...

— Brzoskwinie, gruszki?...

Walentego ochota zdjęła. Podano brzoskwinie. Hrabia zerkał dziwnie aż kiedy, obciągnąwszy delikatną, puszystą skórę mistrz zacisnął nielitościwie zęby na soczystym mięszu, — syknął zdradziecko.

— Ulubiony specjał Lukrecji!

— Lulu... krecji?

— Borgji. Truła brzoskwiniami.

Walentemu spojrzenie zmętniało. Sępowiecki podsunął mu szklanice z mlekiem.

— Pij, mistrzu, zaklinam cię, pij, — jeszcze, do dna, chwili do stracenia...

Walenty odsapnęła czegoś ponad miarę ociężały.

Hrabiego rozrzewnienie zdjęło.

— Ah, jaki jestem wdzięczny, ah, jak mi jest przyjemnie! Razem musimy. — Mistrzu, proszę uszko, — jutro stawię się, pójdziemy na śniadanko, tak. — Mistrz drogi musi, musi. — Do Koburga trzeba dotrzeć i tego wypatrzeć. Fiuuu! Mądrała, a drugi, drugi Nikita. Pamiętasz, mistrzu, kto pierwszy na Bałkanach wystrzelił...

— Czarnogórski, — cóż, siedzi w kącie i podobno dogorywa.

— Co mistrzowi za myśli. — Jeszcze mleka. — Chciałbym, żeby mistrz pojutrze ruszył w drogę. Odszukać, wypośredkować, dociec. Koszt, niech sobie koszt, na to są pieniądze, aby wszystko kosztowało. A zwłaszcza Nikita, bo gotów wystrzelić...

— Czytałem, pamiętam, umierający.

— Błagam mistrzunia, — jeszcze mleka, choć jeszcze pół szklanki...

— — — — —
— — — — —

Było południe, oślizgłe, mgłą zagazowane południe.

Walenty leżał, tkwił raczej bezsilnie na tapczanie.

Posługaczka brzęczała mu nad głową, raczyła

cierpkokwaśnym wywarem aż zaplula się własnym wydziwianiem i jeno szczotkami tarła w kuchence.

Walenty zapadał w półsen. Głowa mu ciążyła znów mocniej, na usta dobywał się uporczywie gorzki skurcz.

Ktoś do drzwi zakołatał. Walenty ani się poruszył a słyszał. Baba rozmawiała. Opryskliwa, nieznosna baba.

— Powiadam, że się układł i dycha.—Co jest?— Co ma być? Struli go wczoraj w jakiejś knajpie...

— Struli, — struli, — wrzasnął przeraźliwy dyszkant hrabiego.

— Więc, co mam powiedzieć?

— Nic, — znać nie chcę, widzieć na oczy! Z otrutymi nie chcę mieć do czynienia!

Drzwi trzasnęły, schody zadudniły, Walenty stęknął. Zwlókł się, dwa dzbanki zimnej wody na głowę i babę sfukał.

Taki los, takie psie, kryzysowe czasy.

Zajrzał do kieszeni patrzeć tej „ostatniej publikacji“... i znalazł... dwa bilety do cyrku.

Splunął z obrzydzeniem i zasiadł i pisał:

„Filipsiu kochany, dostojniku serdeczny... Dawno już“...

MGŁA NA FRONCIE.

Komendant posterunku szurgnął z pod kopczącej lampki pudełkiem tytoniu w stronę dwu skulonych we wnęce cieniów.

— Hm, — to wszystko. — Palcie, panowie. — Jeszcze pół godziny. — Najprzykrzej wypełznąć z drutów. Zresztą byle Dziobatemu nie brózdzić. Zanim piąty stęknie, czterech zamroczy. Tęgi sierżant! — Prawdę mówiąc, głupstwo. — Wzgórze sto czterdzieści, lecz z trzech stron naciskane. Dotrzeć wypadu, runąć na schron i podkurzyć. Kilku granatów starczy. Ogień zaporowy sypnie, mysz nie ujdzie. Mają dwa piętra betonu tedy dwa piętra trupów. — Jeżeli poczują i zaterkoczą z młynków to na ślepo, więc przywarować. Choćby kanaljami wygarniali, lgnąć do terenu, — czekać. Powietrze wymarzone, — mgłę bodaj nożem krajać, a na brzask doreszty zgęstnieje. Główna rzecz raczej mitrzyć i przed czasem nie pukać. — A no tak...

Komendant sięgnął pod deskę, wyciągnął flaszkę, zaśniedziały kubeczek trunkiem wytoknął i przepił.

— W wasze ręce...

Zaczem jął fajkę wytrząsać i świeżym tytoniem nabijać.

— Mocna, — he? — Nafta domowego wyrobu.—

Bogata wyprawa, — dwie półsekcje i dwu poruczników, niesłychane! — Rozkaz dywizji, a dywizja zawsze ma rację. — Gęsiego na czworakach tworzyście pasmo długości sześćdziesięciu metrów. Pan, jak wypadło, stajesz za pierwszym zastępem i ruszasz na przód. A pan znów stawiasz za pierwszą półsekcją swego kaprała, a samemu kryjesz tyły i trzymasz łączność. Jeżeli pierwsza półsekcja napotka bałamuctwo, po dobytciu się z drutów, wysuwasz się przed nią bokiem i rwiesz ku wejściu do schronu. W zgadywanego się nie bawić, nacisnąć byle trutnia, zagrać mu na gardle i doprowadzi... No, za wasze...

Butla zabulgotała wśród kłębow fajczanego dymu.

W głębi podziemia rozległ się przytłumiony terkot.

Komendant dźwignął się z ławki.

— W drogę.

Opięte, ceratowe płaszcze łysnęły w mroku.

Wyższy z dwu cieniów dobył z zanadru szarą koperturę.

— Pan kapitan pozwoli...

Komendant wcisnął szyję w ramiona.

— A no, skoro porucznik chcesz, — na wszelki wypadek... lepiej papierów nie mieć. — A... i pan również, — niechże będzie dla dobrego obyczaju, choć tym razem... Bywajcie mi, panowie...

Cienie zasalutowały i znikły w głębi chodnika.

— — — — —

W kilka chwil później, na pierwszym załamie głównego przekopu, dwa cienie przywarły do siebie.

— Daj łapę...

— Mów ciszej.

— Nałóż plecak, może wypaść różnie i maska będzie ci zawadzała. A blaszkę pod językiem?...

— Już ślinię... Więc po pierwszym sygnale liczę do siedmiu?

— Tak, a dalej do dziewięciu i pięciu. Zważaj aby się twoi darli noga w nogę. W drutach niech żłobią boki. Wiesz przecież... No, trzymaj się Stefek...

— Ty zważaj.

— Cóż tam ja, — ostrzelana szkapa. — Idę.

Wyższy z dwu cieniów zachwiał się nieco i zniknął za skretem.

Pozostały zaparł się o zbocze przekopu, lecz tuż wychynęła ku niemu przysadzista sylwetka.

— Pan porucznik Grotte?

— Filip?

— Gotowe.

— Półsekcja porucznika Lambela?

— Czeka pod drutami na naszą.

— Ruszajmy.

— — — — —

Jeszcze nieco plątaniny wśród ciemni rowów strzeleckich i porucznik Grotte razem z Filipem dotarli do frontowego wylotu, pod którym ustawiła się druga półsekcja.

Dwa ostre syknięcia i ostatek poszmeru zamarł.

Grotte położył rękę na ramieniu Filipa, Filip swoją na ramieniu stojącego przed nim żołnierza. Półsekcja sprzegła się łańcuchem rąk i jęła sunąć krętym a pnącym się w górę przekopem, niby olbrzymi ślimak zwiając się, kurczyć i znów wyciągać. W ten sposób sięgnięto miejsca wypadowego, a więc najpierw podkopu, a dalej otwartej równoległej, zaopatrzonej w drabiny.

Tu wydobyto się sprawnie na zbocze. Płachta mgły utrudniała ruchy, organizacja wszakże dawała sobie radę.

Szło bez marudztwa. Rozstawieni wartownicy byli drogowskazami. Do końca drutów obronnych czuwali na zygzakach i trzymali wleczony przez pierwszą półsekcję gruby, nasmołowany sznur. Tym sznurem doprowadzono obie półsekcje do krańca pozycji i tego sznura dalej naddawano tak, że każdej chwili oddziałości mogły się po tym sznurze, jak za linją poręczy, cofnąć zpowrotem w labirynt drutów, równoległych, przekopów i rowów.

Porucznik Grotte, kryjący tyły, znakomicie się i lepiej od porucznika Lambela orjentował.

Noc była ponura i tak zasnuta mgłą, że ani ziemi rozeznąć. Trzeba było poomacku, więc błądzić, — a tu sznur. Znakomity wynalazek. Dwu pierwszych kierunek wytycza a reszta wali za sznurem. Tam, na przedzie, tętsze emocje, aby nie drgnąć, aby poczucia czołowego ruchu nie chybić, — a tu pełnia świado-

mości, niefrasobliwy spacer. Lepiej niż sto metrów wzgórze jednym tchem.

Sznur naprężony targnął się gwałtownie.

— Są pod drutami nieprzyjacielskimi.

Grotte osunął się na kolana.

— Pochyłość najmniej czterdzieści pięć.

Śród ciszy głębokiej zatrzeszczały race, jakąś żalosną smugą światła mrugnęły w mętnej otchłani i umilkły.

Bystre ucho porucznika chwyciło odgłos przyziemnego zgrzytu.

— Tną druty. — Wyczekują. — Znów tną.

Sznur się wyprężył.

— Nicpoń, Dziobaty, wycelował na podstrzyżony wykrawek!

Raz, drugi i trzeci Grotte posunął się naprzód za Filipem.

— Utknęli. Mają jeszcze z dziesięć metrów.

Do kolana przywarł mu kask stalowy.

— Czas?

— Już.

Upłynął długi moment bezruchu.

Nagle race na niedalekich zboczach trzasnęły.

Grotte się roześmiał.

— Łącznik się spisał. Nożyce celują w trzaskanie rac. Idą, już, — już chyba docierają.

Ostry kolec wpił mu się w połę. Grotte poruszył się niebacznie, cerata prysnęła.

— Zaczyna się to najgorsze świństwo — niska

sieć. Filip tnie a odgarnia. Byłe racami jeszcze hałasowali. Sznur znów...

Głusza zaległa aż z głuszy dobyło się ciche syknięcie.

Porucznik doliczył do siedmiu, syknięcie się powtórzyło.

— Są za drutami!... Trzeba Filipa. — Zrozumiał.

Sznur znów swoje.

Grotte przylgnął do ziemi i czołgał się piędziesiąt za piędziesiąt za buciskami Filipa.

Żmuda się rozpoczęła dokuczliwa.

Resztki drutu, kołki i drzazgi czepiały się, dały odzież, kłuty boleśnie. Mokra, oślizgła ziemia kleiła się, oblepiała rękawice, płatami doń się garnęła. Jakieś złomy twarde, jakieś szczątki rumowiska się nastroczały, a z nimi razem zaduch nieznośny, wstrętny zaduch zgnilizny z przenikliwymi wyziewami jakichś kwasów.

Po dwakroć rękawem stłumił chwytające go krztuszenie.

Wokół naraz wszystko stężało, zamarło.

Mgła spłynęła białą.

Grotte całą przytomność umysłu skupił.

Szło na poświęcie jutrznią. Skradają się, wypatrują najbliższego... Nadchodzi ta ostatnia minuta, długa nieskończenie, w milczeniu swem straszna...

W tem rozległ się krótki stęk, — a tuż coś zakwiliło rzewnie.

But Filipa wysunął się porucznikowi i znikł. Grotte żwawiej się poczołgał i dopadł go.

— Granaty wpogotowiu, — syknął porucznik.

— *Jesses — Jesses*, — uskarżył się przenikliwy wdech.

Krótki trzask karabinu i, za nim w ślady, gorączkowy terkot. Mgła zakotłowała się. Kulki gwizdnęły. Po trzykroć milkły i po trzykroć szukały lepszego rozmachu. Nie zdołały przecież chwycić rezonu, bo tuż zabęcały na wzgórzu granaty.

Porucznik chciał się zerwać na równe nogi, lecz w tym momencie trzasnęło mgłą z zjadłym impetem, armaty ryknęły i załomotały całymi akordami. Zaporowy ogień wył teraz, huczał, całe wzgórze brał w swe objęcia, — aż, od strony nieprzyjaciela, odwrzasnął mu drugi ogień zaporowy, który znów swoim ramieniem też samo wzgórze otoczył.

Grotte napał leżącego przed nim Filipa.

Należało śpieszyć za Lambelem, ucierał się niewątpliwie, jeżeli nawet wejście do schronu zbombardował, to miał przeciwko sobie strażę okopową.

Ztyłu ucapił porucznika łącznik.

— Co? Łącznik? — Jesteśmy. — Niech ruszają! — Wzgórze? — Nasze, musi być nasze, będzie nasze!...

Łącznik uszedł.

— Charakterny, szelma, akurat za plecami grzmotnęła psiapara ropucha okopowa. — Hej! — Filip! — Półsekcja naprzód! — Bacność, skowyczy, — łba do ziemi.

Znów uderzyło, jęku ze wzgórze dobyło i strzyknęło w pobliżu złomami.

Porucznik wrzasnął na Filipa, bo co teraz ceregiele stroić. Filip się nie ruszył, nowy, jeszcze bliższy wybuch go wytłumaczył.

Grotta obleciało. Zawzięli się. Może artylerja za krótko sięga, a może tamci, nie mogąc inaczej, metry kwadratowe wystrzelują.

Nowy łomot rozwarł w białej mgłę ciemny snop tuż przed Filipem.

Porucznik drżał w sobie, dygotał razem z ziemią, powieki mrugały mu bezwładnie. Lewym bokiem przyległ i cisnął go, jakby własne serce chciał w opokę zaryć. Zebrał jednak ostatek przytomności. Manierkę wyszarpał z torby, usta przywarł, żarem gorzałki się orzeźwił.

— Filip, do stu kroć! — Słuchaj ty!

Podczołgał się doń.

— Ranny? — Co? — Naprzód, wałkoniu! — Dalej!

Filip wpił się pazurami w zbocze.

— Nie pójdę, — za nic nie pójdę.

— Oszalałeś!

— Boję się, poruczniku, — ja się boję...

Grotte zarechotał mu w twarz. Manierki mu podsunął.

— Chlaj, smarkaczu! — Rypią, dranie, co? — No, śmiało, ruszaj, dobędziemy się!...

Filip poczołgał się naprzód. Grotte parł tuż a za buta go trzymał, aby nie stracić kontaktu.

Żołnierz animuszu nabrał.

— Są — są przed nami! — Widać już nawet, panie poruczniku!

— Prędzej, prędzej, smaruj!...

Mgła bzyknęła w górze i zamiotła z pasją. Grotte stoczył się, porażony ogłuszającym hukiem i gradem wyprysków.

Po dłuższej chwili tchnął i spojrzął.

— Chyba nic. — I Filip, — jest, jest Filip. — But, but czerwony i jeszcze kawał ponad butem... A on siedzi w leju...

— Naprzód, naprzód wiara! — ryczał we mgłę znajomy głos.

Porucznik trząsał się, a szczękał zębami.

— Kapral. — Głupie bydlę. — Za nic, — wołaj tak. — Lambel, cóż tam Lambel. — Każdywego. — Leja rzadko drugi pocisk tknie. — Wyją gdzieś niedaleko. — Brzask, brzask. — Pod tę wyrwę, byle nie patrzeć. — Krew, krew i miazga Filipa, — a może... zrazu podobno się nie czuje...

Spazm kurczowy ścisnął porucznika za gardło.

— I ja, i ja, biedny Filipie, i ja się boję... i nie, nie pójdę...

— — — — —
Po pamiętnej rozprawie ze wzgórzem sto czterdzieści, dowódca zaszczytnym wawrzynem okrytego pułku rozpogodził oblicze.

Nareszcie jeden błysk jaśniejszy.

Oto raport ambulansu polowego donosił, że śród

ranych znaleziono porucznika Grotta, że porucznik Grotte, choć mocno kontuzjonowany, skrwawiony, wyczerpany strasznymi przeżyciami na pobojuwisku, budzi nadzieje rychłego powrotu do sił.

Jeden Grotte z dwu wyborowych półsekcji, z tych półsekcji, które pułkowi zdobyły honorowe akselbanty, własnymi ciałami zadławiły nikczemną redutę, umożliwiły ruch flankowy, atakowi uutorowały drogę.

Dotychczas ani jednego trupa całego z tych jatek piekielnych, tuzin żelaznych bransoletek żołnierskich z numerami, a zresztą ani śladu, ani znaku, rozniosło ich, rozsypało, zmieszało zwycięzców z wrogami.

Jeden Grotte, dzielny, bohaterski Grotte!

Pułk spoczywał za linią bojową, wypełniał luki, sprawiedliwego zażywał spoczynienia.

Lecz owóż nowina niesłychana.

Zagadały telefony, rozbiegli się ordynansi, tykotały aparaty telegraficzne, świadczyły im maszyny w kancelarjach.

Grotte, — porucznik Grotte! Dwu było poruczników. Jakże temu drugiemu? — Lembel czy Lamballe? — Mniejsza. — O tym drugim ani słyhu. Było tam zresztą różnie. Dwa razy nieprzyjaciel kontratakował, darł się zpowrotem na wzgórze. — A tu porucznik Grotte się nie dał. Znaleziono go podobno w strzępach. Dwa dni przeleżał na pobojuwisku.

Więc rozkaz dzienny pułku, za nim w tropy rozkaz dzienny piechoty dywizyjnej, dalej rozkaz całej dywizji, korpusu, wreszcie rozkaz armji...

Z takich rozkazów, — krzyż wojny i palma złota na okucie i krzyż kawalerski legji honorowej i, do pioruna, trzeci galon, kapitański galon, komuż bo sprawiedliwiej się należał...

Pułk się odznaczył, duch pułku shardział boć pułkownik bierze generalskie gwiazdki, dowódzca bataljonu dostaje pułk, kapitan bataljonu się doczekał.

Taki to z tężyzny jednego porucznika plon!

Pułkownik już zmienia stanowisko, już ma żegnać towarzyszków broni, — a tu aljancka uprzejmość się naprasza. — Belgowie ślą kilka krzyżów znakomitemu pułkowi, Anglicy swoje męstwa odznaki, Włosi sumiaste dedykują emblematy.

Jak je dzielić?

Najpierw Grotte — resztą innych obdarować.

Parada uroczysta. Pułkownik aż z bólem na generalstwo idzie. Dowódzca dywizji martwi się łaskawie. A wszyscy ze świty lustrującej, czyli z szeregu, jeżeli kto gęby zdoła wychylić, patrzy kędy kapitan Grotte.

Aż dowódzca dywizji podszedł do Grotta, ucieszył się i zadziwił.

Tyli oficer, krzyż belgijski, krzyż angielski, krzyż włoski, cała potęga aljancka się składa, a tu... raptem krzyżyk wojny z jedną palemką i kawalerski krzyż legji... kiedy tu właśnie pułkownik wypomina odnaleziony raport łącznika, który z pola bitwy, z pod ognia przyniósł słowa Grotta: „Wzgórze? — Nasze, musi być nasze, będzie nasze“...

I dowódca rąbnął z miejsca.

Podać tę odpowiedź w rozkazie dziennym, druga palma złota i do krzyża oficerskiego przedstawić kapitana...

Wyprawiono kapitana Grotta na urlop wypoczynkowy, po wypoczynku ozdobiono krzyżem oficerskim, z czego wynikła w następstwie ciekawość dowódcy korpusu.

Dowódca korpusu orlim spojrzeniem przeniknął żołnierza i skwaśił się, że oficera tak zasłużonego, oficera legji honorowej, trzyma się na kapitaństwie, wszak zasadniczo krzyż oficerski jest rangą pułkownika.

Wobec tego zażądano dla kapitana Grotta awansu na majora.

Z dowódcą armji przecież wypadły korowody. Na promocję się zgodził, lecz dowódcy korpusu palną naukę.

I jakże bo? — Dla kogóż są galony, odznaczenia, dla kogóż są kursy sztabu generalnego? Major Grotte ma wprawdzie średnie wykształcenie, ale wzamian posiada tę największą zaletę, bo ducha wojskowego, ma poryw, ma wiarę w zwycięstwo, posiada te najcenniejsze przymioty, które tworzą tych prawdziwych oficerów armji. Więc majora Grotta odkomenderować na kursy sztabu generalnego, a dalej utorować mu drogę do pełnej szkoły wojennej. Taki oficer sto razy więcej wart, niż tysiąc benjaminków wpływów politycznych, czy spódniczkowych...

— — — — —
— — — — —

Generał baron von Schlippenbach, pod koniec inspekcji obozu ewakuacyjnego, odzyskał całą wrodzoną mu pogodę ducha.

Bo też szef komisji wojskowej aljanckiej był dżentelmenem wysokiej miary. Nazywał się wprawdzie tylko Grotte, lecz pisał się przez dwa „te“, był pułkownikiem sztabu generalnego, typowym bojowym oficerem. Znamionowała go uprzejmość żołnierska, można powiedzieć względność dla zwyciężonych. Licho istne tę całą wojnę rozpełtało.

Inspekcja dobiegała kresu. Obóz był we wzorowym porządku, wczorajsi jeńcy gotowi do wymarszu. Jeszcze dla formy miano zajrzeć do obłąkanych. Niewielu ich było, na szczęście niewielu. Śród nich jeden przypadek tragiczniejszy.

Oto właśnie ten w kącie, siedzący na łóżku. Nie znaleziono przy nim żadnego dowodu. Wysyłane były do Czerwonego Krzyża do Szwajcarji fotografie. Rana szczęki zeszpeciła go jednakże.

Członkowie komisji zbliżyli się do obłąkanego. Dozorca podniósł go za ramiona.

Generał von Schlippenbach sięgnął do zawieszono nad łóżkiem arkusza.

— Protokół stwierdził, że miał mundur i odznaki porucznika piechoty i że zabrano go na wzgórzu sto czterdzieści, więc na jednym z wielu podobnych wzgórz...

Pułkownik Grotte chciał przyjrzeć się dobrotliwie nieszczęśliwemu, gdy naraz z pod obwisłych powiek zaskrzyły się ku niemu źrenice obłąkanego.

Grotte ledwie sobą władał. Mara, zjawa, potwornie zeszpecone rysy Lambela...

Obłąkany wpatrywał się weń, płomieniem wewnętrznym chciał jakby pochodnię świadomości zapalić... Wzrok jego przecież ześlizgnął się ku zychom i orderom pułkownickim i zastygł, zapadł w sine oczodoły.

Generał von Schlippenbach westchnął sentymentalnie.

— Cóż, — pod wyrazem „nieuleczalny“, — musieliśmy dodać „nieznany“...

Biel gęstej, grudniowej mgły powitała komisję międzyaljancką u wyjścia z obozu ewakuacyjnego i dokuczyć musiała szczególnie pułkownikowi Grottowi, gdyż, nie bacząc na ceremonjał, oparł się o błotnik samochodu i zdawał się szukać swobodniejszego tchnienia.

Generał von Schlippenbach wlot odgadł. Ślady gazów trujących dręczą czasu wilgoci, więc troskliwie się zakłopotał.

— Miewamy tu, nad Renem, straszne mgły...

— Straszne? — Mieliliśmy, chcesz powiedzieć generale, straszne mgły na froncie...

— Prawda, lecz się nareszcie skończyły.

— Tak, — ale nie minęły...

DRZEMKA.

O dłożył słuchawki radjowe i mocniej przyłgął do wyścielanego oparcia.

Zegar na kantorku cyknął z impetem, chciał godzinę wybrzeczyć, lecz się zasapał i jął dalej utykać.

W głębi zastukotały naczynia.

Poruszył się niespokojnie.

— Michasio-wa!

Szary cień przywłókł się na kłapiących łapciach.

— Chyba druga?

— Blisko po trzeciej. Pani nie będzie z biura aż o szóstej. Pan Wojtek miał być na drugą. Obiad się wyśmirlil, że niepodobna. Zjadłby se pan starszy i nie czekał. Z panem Wojtkiem nigdy ładu. Ten z góry chyba już z godzinę jak wrócił. Mam dawać?

Głową potrząsnął. Łapcie kłapnęły w stronę kuchenki.

Spojrzał po stoliczku, okularów nałożył, gazetką szarpnął. Jeszcze ją przewertował aż odrzucił z niechęcią.

Pan Wojtek! — Jak Wojtek to nie pan a jak pan to nie Wojtek! — Moda przyszła na Wojtków. — Dawniej Stosław, Juljusz, Mieczysław, Konrad, — dziś jeden przez drugiego chrzczą wszędzie Maćków, Jędrków, Błażków.

Pan Wojtek! — Siedemnasty rok zaczął, — najgłupszy wiek, — ani pacholę ani młodzieniec. Wychura po mózgownicy. Tu należałoby męskiej ręki a tu cóż, matka skłopotana i wujeczny dziadek. Niech w prostej linii a dziad dziadem, niby coś, co kiedyś było, co się jeszcze trzepece. Ktoby tam na dziadka zważał, wczorajszego dnia patrzył.

I czego takiemu brak? — Rzeczpospolitą ma, do jednego wprawdzie morza, ale znaczną, — szkołę polską ma, — ani krzty dawnej męki, tego dławienia, tego nękania. Garściami brać, chłonać naukę, wszystko mu zwoli.

Ba, a chodzi osowiały. Dukwi nad książkami, markuje po nocach albo włóczy się nie wiedzieć gdzie. U kolegi był, — tyle raptem wykrztusi. — Powiadać mu, zmilczy a jak co do czego, swoje wie. Fety mu sprawiają, wodzą, tarabanią, zbiórki, marsze, parady. — Człowiekby za to był życie dał niegdy! — Dla oglądania czapki żandarmskiej nad grobem Pięciu Poległych w Dzień Zaduszny ryzykowało się całą przyszłość, — a na Trzeciego Maja nie żał było pod Ogirodem Botanicznym oberwać nahajką, cztery godziny karczeru wziąć za nieobecność w gimnazjum.

Czem się dzisiaj turbować, czem kwasieć, czem smęcić?

Koleżkowie przyjdą, to się zamkną w pokoiku, świstki układają. Zagadnąć, — bęcwał jeden z drugim sportem się tłumaczy a niepoczciwie zezuje. — Mocniej natrzeć, to rąbnie czasem naodlew, że wy-

rozumieć trudno, skąd mu się taka polityka bierze. — Matka truchleje. — Głupstwem dzieciuch może licha napętać. — W domu niczego nie usłyszy. — Tak czyli owak nie sztubacka sprawa. — Uczyć się, Bogu dziękować za one cudy zniszczone. Nowe pokolenie urośnie, ku coraz lepszemu pójdzie.

Głupi wiek.

Dawniej taki głupi wiek miał podłoże. Starsze pokolenie było sterane, wyłuskane Sybirem z zawziętego żywiołu, nadto potulnie chyliło głowę, jęczało w niewolniczym mizeractwie. Dzieciarnia się rwała do ocknienia. Bywały zatargi w domu, ale takie zatargi, że choć ojciec fukał, gniewał się, upominał a oburącz do piersi cisnął a ze łzą w oku poglądał na syna.

Pan Wojtek! — Mówże takiemu, jak to było za Apuchtina, za onego Hurki, za onych trudnych czasów.

Mordownia była nie szkoła. Nauka oschła, niemilosierna, wykuwanie „patentów“ kosztem fałszu, obłudy, wypierania się samego siebie. Wszystko miało swój przewrotny cel, aby dzieciarnię, aby smarkaterkę, młodzież oszołomić, aby ją wychować na mieroty poddańskie, aby zgasić w niej jasność spojrzenia, aby wtłoczyć w formuły.

Nauka — czego dzisiejszy smyk nie rozumie, — wówczas dawała prawa, jeżeli do niej był przyłożony stempel rządowego gimnazjum. Prywatna szkoła nie miała praw, wiedza bez pieczętka nie miała wartości oficjalnej.

A w onych gimnazjach było i ciasno i ponuro.

Seminarzystów, karjerowiczów rosyjskich, wyko-
lejeńców z końca świata nasyłali. Nauczycieli-Pola-
ków z roku na rok bywało coraz mniej a i między
nimi rzadko duch tęższy, raczej na chlebie powszed-
nim zaciśnięte szczęki i lęk przed byle pozorem.

Niewielu było takich, jak zacny Grodziński, któ-
remu, gdy, według nowego ładu apuchtinowskiego,
lizus-sztubak się przymilił:

— Franc Stanisławowicz (czy podobnie), — Gro-
dziński spiorunował go wzrokiem i huknął po pol-
sku.

— Całuj psa w nos!

Częściej, niestety, bywał desperat, który na za-
dokumentowanie swej lojalności huczał tak wściekle
prawowiernym akcentem:

— *Kankalewskaj, skazite urok!* — że pocziwe-
mu „Kąkolowi“ niesforna czupryna dęba stawała.

Z językiem polskim było krucho. Słówka ani pi-
snąć. A na urzędowych lekcjach, dwie godziny na ty-
dzień, cisza śmiertelna. Zacny Józef Wojno dyktował
jakiś tekst rosyjski, niby tłumaczenie z polskiego. Aż,
uporawszy się z częścią obowiązkową, konspirował
ile sił. Zaczynały się gramatyczne i stylistyczne do-
ciekania, recytacje poezyj, przeglądanie wypracowań,
których nie śmiał zabierać do poprawiania. A Staś Po-
powski, — bo Stefan już wówczas rysował naumór —
sypał kompozycjami a wywodami sadył, jakby mu
już całe sokołstwo z prokuraturą w rozpłomienionych

oczach gorzało. Na pierwszy alarm, kajety z rosyj-
skim tekstem chwarszczały posłusznie, zaczynało się
odczytywanie rosyjskiego tłumaczenia z domniema-
nego polskiego dyktanda.

Bywały dziwy istne.

Tornistry uczniowskie systematycznie pilnowane,
wertowane czujnie a w tornistrach zawsze pełno gro-
źnej bibuły. Punktem honoru było mieć gruby kajet
zakazanych wierszy. „Boże, coś Polskę“, „Z Dymem
Pożarów“, „Pieśń Filaretów“ rozpoczynały sakra-
mentalnie zbiór a dalej, jak się przydarzyło, „Ty śpisz,
Zygmuncie“ hen, w środku albo na ostatku, tuż przy
„Oj ostre kosy nasze“.

Między opieszalcami nawet nie brakło zawzięt-
ników. Byli, którzy umieli dorabiać, wykreślone
przez cenzurę, ustępy z „Pana Tadeusza“. Takiemu
jeno palcem wskazać a on już bez zająknięcia: „Jako
nie uwierzono ubogiej kobiecie, która, stojąc na świę-
tej Ostrej Bramy szczycie, widziała, jak Dejów, mo-
skiewski generał, z pułkiem kozaków już bramę otwie-
rał i, jak jeden szlachcic, zwany Czarnobrcki zabił
Dejowa i zniósł cały pułk kozacki“.

Sypnąć tchem jednym trzysta wierszy „Kordjana“
to była mucha. — Choćby sobie Stromfeld, miał pa-
sję do Rousseau'a i do „Reduty Ordon“. I razu jed-
nego nie wytrzymał i do wypracowania rosyjskiego
załadował nie Ordon ale autora „Nowej Heloizy“.
Pół godziny coś za to znęcał się nad nim sławetny *Ale-*

ksandr Wasiljewicz i knota mu postawił tak sromotnego, że biedny Stromfeld nie mógł się podźwignąć.

Najdotkliwszym cierniem był Iłowajskij, twórca szelmowskich podręczników do nauki historii. Czego ten nicpoń nie wypisywał. Polskę raz czy dwa w kilkunastu wierszach kopnął, jako niegodną uwagi marność, którą „pany szlachty“ zgangrenowali. Stolicę Apostolską poniewierał, „jarłykami“, „interdyktami“, „celibatem“ tak mocno obrzydzał, że chyba nawet Zwingle z Kalwinem w grobie się przewracali z oburzenia. A co zresztą Igarstwa, nadymanie nicości, tego nie było na świecie, tamten niczego nie dokonał, — ten największy. Rewolucje, przewroty, rozboje historyczne nakręcone, wykoszlawione, aby potęga i chwała *wsierasijska* w cztery konie do umysłów zajeżdżała. Tu był car *oswobodiciel*, tu car *mirotworiciel*, tu car obrońca chrześcijaństwa, tu caryca *wielikaja*, — tylko rodu satrapów, grabieżców, tyranów zawsze brakło. Zresztą *małczat i nie rozsuzdat*. Tak powiedział Iłowajskij, tak mądrzej twierdził Karamzin, więc uczniowskie prawo tak wierzyć i tak myśleć...

Piąte gimnazjum warszawskie miało na szczęście przez pewien czas inspektora Giejewskiego, historii Iłowajskiego komentatora. Niechże go tam święci pańscy mają w opiece. Sprawiedliwy był Moskał. Tu sobie tekst, tu nagwazdane, poszachrowane a on po swojemu.

— Iwan Groźny? — *Krowopijca*, — i jak jeszcze, kto powie? — *Może gaspadin Kielczewskij?*

Kielczewski, co zawsze pod ławką jakiegoś Krazewskiego czytał, — wykręca się zawilóściami, — a Giejewskij mu przerywa:

— No i gnębiciel i jeden więcej obłąkaniec na tronie.

Giejewskij nie obwijał w bawełnę. Uczciwie pragnął. Inspektorem nie dręczył.

Przy wejściu do teatru uczniowie gimnazjów musieli pokazywać żandarmowi zezwolenie inspektorskie; z Giejewskim kłopotu nie było.

— W teatr? — W „*Rozmaitości*“? *A szto tam igraint?* — „*Ziemia*“ pana *Fredra*, — *charoszaja piesa, sławnaja piesa*.

Długo się nie uchował. Przenieśli go do Częstochowy na dyrektora. Tam wyszło szydło z worka. Uczyniła się chryja polityczna. Giejewskij ujął się za sztubakiem. Napędzili i sztubaka i Giejewskiego.

Ba, — gdyby takich Giejewskich było więcej...

— Chociaż, — dobrze, iż nie było...

Opatrzność czuwała nad młodem pokoleniem.

Kuratorjum trzęsło się w posadach. Obrusienie pedagogiczne wyteżało wszystkie siły. Czaiło się, czyhało, zastawiało pułapki, rzadko ucapało rebeljanta. Miesiącami nigdzie znaku, nigdzie śladu. Każdy *po prikazu*, tak mówi, tak dowodzi, jak podręczniki mówią a *gaspadin uczytel* wyklada.

Sam Apuchtin chodzi po klasach. Głowa bielutka, wąs polski, istny hreczkosiej z pod Łomży. Niczemu przyganić. Rygor, ordynek, *udarenje* bez zarzutu, od-

powiedzi jak katarynka, — robi się niezawodny *Prywislinskij Kraj*, — skończy się Polska za kilkanaście lat. Dać dyrektorowi Annę na szyję.

Głupie, zakute łby!

Rzucał się taki „diejatiel“ między ławkami, bo coś jakby instynktem wyczuł, hajże, czempredziej prostować ścieżki, młode pędy naginać.

Godzinę prawił, zachrypl, zaplul się, potrzaskał widma nieuchwytnie, jeszcze wyegzaminował słuchaczy, wreszcie odsapnął z zadowoleniem.

Wydawało się takiemu, wydawało, że młodzież jest bezduszną gliną, że jeden zacierzewiony bakałarz zdolen jest młodzież przekabacić, namówić, że młodzież, poza szkołą, nie widzi, nie myśli, że kategorje „chrystomatyj“ przekuje na zasady życiowe.

Dopieroż prowokatorzy-sztubacy, uciechy największej twórcy!

Słowo niebaczne podchwycą, wyszperają w najsolenniejszym tekście i do profesora z apelacją.

Belfrowi pot kroplisty występuje na czoło. A tu Tadzio Białecki z niewinnem zaciekawieniem wodzi go na pokuszenie. Klasa dławi śmiech. Waghalter, co później na wiolonczeli tak przepięknie w Operze wygrywał, dziwi się serdecznie i jeszcze mocniej świadczy. Aż belfrowi, po przegadaniu całej godziny, zdaje się, że dokonał więcej aniżeli Themistokles pod Salaminą.

Siemion Leontjewicz Stefanowicz, zwany „cyklopem“; miał jedno oko szklane, prawi o nadchodzącej

galówce, rzuca garściami „zdrowe“ ziarno uwielbienia Domu Romanowych, — a tu nasza „Wiewiórka“, w osobie wątłego Kazia Bączkiewicza, przepisuje sobie najspokojniej do swej antologii „Matkę Polkę“.

Cisza w gimnazjum niezamącona.

Pedle myszkują, nastawiają uszu, pustota niefrasobliwa. — Winawer zebrał całą gromadę do werutowania Spencera i Hegla. Gabryś Tołwiński literaturę polską już wykłada. Ci wydają tajne pisemko, — tamci założyli kasę pomocy, — zresztą „podatny materjał“, co *bumaga* kuratorska wykoncypuje to nawet stary woźny Onufry święcie odprawia.

W imieniny cesarskie sam dyrektor sprawdza, czyli gimnazjum modli się sprawiedliwie, czyli księdzu Seroczyńskiemu w kościółku św. Barbary głosu starczyło na „najjaśniejszego, najmiłociwszego Aleksandra Aleksandrowicza“, — i ani podejrzewa, że Puciata z Mińszczyzny, w uroczystym momencie, ciągnie za rękaw Karolka Jaźwińskiego.

— De słuchaj, de za pana Kościuszkę trzy „Zdrowaś“...

Naraz zbałwanily się chmury.

Rocznica narodowa mocniej wypadła. Nacisnęli uniwersytet. Chwycili „akademików“, zabłąkanego naszego siódmaka dopadli.

Zaczęły się rewizje, dociekania, gdzie, u kogo, kto mieszka, z kim przestaje, z kim się zadaje. Rodzina? — Co za rodzina, kto wśród rodziny jest, był lub może być podejrzanym. Na byle urwisa połuje znów

i pedel i „gospodarz klasy“ i „rewirowy“ i stróż kamienicy.

I trociny szły, najśmielsi zapadali się, ubywali z szeregów odrazu. Podejrzanych ćwiartowały egzaminy. Zdolnych a niepewnych utracano bez pardonu, wtykano świadectwo z sześciu, z czterech klas i na tem koniec. Bogaci ratowali się w Charkowie, w Woroneżu, zmykali do Rygi, do Moskwy, bodaj w Kahludze szukali owych „patentów“, — bieda grzebała swe ambicje w szarem życiu.

Do mety docierała elita niewiniątek, tych cichych, kornych, czy też najchytrzejszych, czy też mających za sobą wyjątkowe plecy czy tylko garby.

Władze naukowe były dumne z tak misternego przesiewania młodzieży, wyobrażały sobie, że kłamstwo może coś więcej zrodzić niż obłudę, wyobrażały sobie, że młodzież, że przyszłe pokolenie można zmusić, aby kogoś miłowało, coś wielbiło, coś szanowało nie przez własne odczucie ale przez nakaz, przez sugestję podręcznika, przez gorliwość belfra, przez Apuchtina.

Jakże to było później, jak tam w uniwersytecie?

Walka, walka głucha, zawzięta z moskiewszczyzną, walka o zrywające się do lotu ideały i walka żywiołowa, odwieczna młodzieży z wczorajszym dniem.

I co tu powiadać takim panom Wojtkom!

Ani wiedzą, co mają. Ogarnąć nie mogą, że zaślepienie apuchtinowskie obrzydzało nawet i to, co w rosyjskim dorobku godnem było hołdu. Lermon-

tow, Puszkina, Gogola, Turgeniew byli wszak raczej narzędziami tortury. Niedość było znać na wylot Gribojedowa, ale w zadanej charakterystyce, stworzonych przez niego, postaci, odgadnąć to, co kuratorowi po głowie chodziło. Nie wyjawić własnej myśli a za „własną“ myśl podać myśl narzuconą, trafić najbliżej do płytkiej formułki zatabaczonego referenta. Trzeba było umieć łączyć na zadany temat, wyłuszczać dociekania, jak się Puszkina czuł w Moskwie po powrocie z Kaukazu a „Rewizora“ bardzo delikatnie oglądać i narzekać na karykaturę satyry.

Tak było w szkole, tak było w całym zaborze.

Bobrowali, rządźli, jak u siebie. Łapu-capu chcieli mieć wszystko dokoła niby w Tule, niby w Samarze. Cebulki pozłociste wyrastały jak z pod ziemi. Pałac Staszica zamienili na bizancjum. Plac Saski ozdobili soborem. Gdzie najpiękniejsza ulica, najszersza droga, — to Aleksandrowska, to Mikołajewska. Po koszarach, po skarbowych obejściach wznosili pamiątkowe kulfony. Istna trwoga ich napadła, aby, co się tylko da, poznać, napiętnować, aby na wieki wieków przetrwały rozmaite Kotzebuy, Bergi, Paszkiewiczze, aby lud u stóp Częstochowy kłaniał się Aleksandrowi II, aby Wilno wdzięczności dochowało Katarzynie, aby na polach Woli i Grochowa rosyjskie królowały pomniki.

Zarazy, zda się, na to rozpychanie nie było.

I cóż? — Stało się, przysło. Śladu nie zostało. Nawet tych „czterech orłów i ośmiu lwów, co strzegło

pięciu kpów“ na imponującym obelisku „Polaków wiernych swemu monarsze“ niewiadomo kędy pa-trzeć.

Tak, tak, były czasy twarde i minęły, — a Sobie-ski precz na koniku wyskakuje i król Zygmunt na ko-lumnie i pan Kopernik na swoim głazie.

Owóz dzieciuch taki, taki Wojtek nie, nie chwyta.

W tem miejscu siwa głowa, udręczona tak zawil-yłym wywodem ociężała. Powieki zgasiły szkliwo wy-blakłych oczu.

Sen nie sen, — raczej drzemka...

— — — — —
Wielka pauza. Zgiełk, rozgwar, ochota. Trzy ćwierci klasy wysypało się na dziedzińczyk. Garstka wsuwa zapalczywie przyniesione śniadania. Dwu Vacqueretów, Zygmus Chrzanowski, Kijewski, Jó-zio Twarowski rozprawiają z Władkiem Grabskim, który się wsunął z komitywą do wyższej klasy.

— *Nie szumicie!* — upomina przez drzwi pedel Bieleckij...

— Śpij pan zdrów! — wrzeszczy Szulc.

Bieleckij kłania się uniżenie.

— *Milosti prosim, jeszcze Polska nie zginieła,* tylko panowie emerytura, *jej Bobu,* emerytura staro-polska taki się należy...

Koelichen głaszcze Bieleckiego po głowie.

— Dostaniesz, dostaniesz, tylko idźże sobie do stu tysięcy...

Ignas Landsztajn przysuwa się zboku.

— Czego chcesz, wstępniaku, czego się ciśniesz między senjorów?...

— Musicie bardzo uważać...

— Hę — jak? — Cóż to za konfidencje? — Skle-roza? A cóż ty słodki pędraczkę możesz mieć za po-jęcie o sklerozie? — Taki bąk będzie starszemu wy-dziwiał. — Powietrzówkę miałeś? — Nie?

— — — — —
Dzwonek zaterkotał. Drzwi szczęknęły.

Jest pan Wojtek.

Kiwnął się nosem do dziadkowego mankieta.

— Późno? — A no późno. — Wypadło? — Tak właśnie wypadło.

Obiad, kusy, skurczony obiad. Dziadkowi nie-wiele mitręgi na sklerotyczną djete, — panu Wojt-kowi kilku minut dość choćby na całego wołu, zwła-szcza kiedy go przypili. Zdmuchnął talerzyk ryżu z cynamonem, musnął serwetką po ustach i już kiwa się nosem do dziadkowego mankieta.

Dziadek miał coś namotane, bo okularów nałożył i do wydziwiania się zabierał.

— Czekaj no, gdzież to cię znów ponosi?

— Bo piłę choleryczną mam na jutro z Mickie-wiczem.

— Proszę mi się tak nie wyrażać. Miłość i sza-cunek dla króla naszych poetów, smyku jeden!

— Miłość, miłość, żeby tak komu kazano robić wykres miłości „Pana Tadeusza“... Zwarjować mo-żna z takim „królem“...

Dziadek nasepił się groźnie, ledwie przecież by-
strzej na wnuka spojrzął, zatrząsł się ze zgrozy.

— Jakże ty wyglądasz!...

— Cóż, wyglądam.

— Patrz, kołnierzyk zwinięty, krawat starmo-
szony, zmoczonyś cały. Gdzieżeś się ty, chłopcze, po-
dziewał?!!

— Aby mnie hydrantem.

— Jakim hydrantem?!

— Pod uniwerkiem chmara akademików się ko-
tłowała. Ludzi rozpędzali. Chciałem do Świętego
Krzyża, nie zdążyłem i strzyknęli mi z sikawki...

Dziadkowi usta pobiełały.

— Do Świętego Krzyża?!... I ty jeszcze i ty!!...
A na czole sina pręga. Chryste Panie, zdzielił cię na-
hajką!!...

Wojtek skrzywił się pocieszenie.

— Et tam, dziadusiowi zaraz nahajki. — Aby
pałką gumową liznęli.

Staremu w gardle zbulgotało. Chwycił wnuka
w objęcia.

— Nic to, widzisz chłopcze, — młodość i ten
Święty Krzyż i porządek!... Porządek musi być!

PAN KOMISARZ.

Mistrz Wlekalski spojrział na pokratkowane węglem płótno, na spłowiałą fotografię, przypiętą pluskiewką do ramy stalugi, i znów pasja go ogarnęła.

— Mecenas z Radomia! Pół roku straszył go obstalunkiem, pół roku zapowiadał przyjazd. Po Luwrach, Velasquezach, Rembrandtach, galerjach, Tabarinach, Muleńkach kazał się oprowadzać cały tydzień. Prymitywami, renesansami, barbizonami, pędzlarzami z końca świata sadził mu i na Eiflu, i w lasku, i w kawiarni i w *tramie*; aż wyciągnął z zatłuszczonego pugilaresu zdechłe *foto* babki nieboszczki i, za trzysta *franiów*, po znajomości, uczynił mu zamówienie. — Burzuj! — Mistrzu kochany! miłemu sentymentowi uczynisz zadość! — Mydlarz! — Sztuką sobie zęby wycierał! Greuzów, Holbeinów, Corotów szamerował. A dopiero niby czego trzeba artyście! Jak artysta, kiedy artysta, a co artysta! No i brzdękął go w kratkę za trzysta *franiów*! Babka musi mieć i ten sam pęczek na czepku i pierścionek z krwawnikiem. Naści, za psi grosz, dwa łokcie familijnego portretu!

Mistrz Wlekalski sięgnął po kaporala, zapalił i buchnął kłębem dymu.

— I malarstwo! dziesięć lat mordegi, akademji,

paryskiej nędzy, bakalarni; konkursy, jury, chryje, salony, dziurawe buty, ideały no, i jesteś! Tu napisali, tam napisali, a jakże i owszem, rysunek, kolor, talent, mistrz, o! No i zjawił się już mecenas! — Ech... Kocie szczęście! — A Kucyk? — Kucyk, co go ledwie nad ziemią widać, nochal czerwony, ślepki jak ciarki, w gębie kluski, „wchód“ pisze przez *ef*, parluje, Boże odpuść, a żeni się!... Temu dwa miesiące się przytryndał, tu, pod tym piecem, się wygrzewał; wczoraj jeszcze dziennikarz bez butów, zdesperowany *omdeletr*, a jutro, szelma, cały rentjer, kapitalista, kamienicznik, ogryzek jeden.

Wlekalski spojrział na swe olbrzymie ramiona, na wielkie, nasęgowane guzami ręce, schwycił za węgiel i jał według kratki, na płótnie znaczyć kontury.

— Niech go tam! — Taki kusajda zawsze ma szczęście. Choćby kiedy pierwszy raz do niego zapukał... Pamięta, wypadł z pasją do sieni, aby natręta wylać na łeb! I, żeby to był drab jakiś na schwał, pewnieby mu nie darował. Ale tu drobiazg taki, nochalem czerwonym pociąga, sepleni bez związku, przestępuje z nóżki na nóżkę, niesposób nawet na takie chuchro się oburknąć!

I gdzie! Ani się spostrzegł, a kusajda siedzi sobie w *dagobercie*, herbatę chlupie i sprząta mu wiktuały! Podziewał się tak u niego całe dwa tygodnie. A potem jużci cały Paryż znał! Prezes nie prezes, dygnitarz z kolonji czyli zgoła hrabia, ze wszystkimi w komitywie. Z tym jadł, tam pił, ówdzie był jak u siebie. Bi-

letów na darmochę miał pełne kieszenie, niby redaktor. Do *Figara* się dostał, co w niem czynił, niewiadomo, dość, że był i jest! Jeszcze nie umiał z *Bulmiszu* na *Montmarter* trafić, a już wykukał sobie wdowę z dwiema córkami pod Wersalem, no i żeni się! Cóż, taki kucyk wszędzie się wkręci. Śmiech powiedzieć, jeszcze sobie będzie u niego *landszafty* kupował! Phi! taki bo i porządek na świecie!...

Wlekalski, w tem miejscu, odsapnął i jał pilniej rysować. Robota zaczęła go palić. Chciał ją zbyć czem prędzej, dobyć się z tej niewdzięcznej, rzemieślniczej pracy.

Słońce chyliło się ku zachodowi, znacząc w atelier malarskiem coraz silniejsze światłocienie. Wlekalski rysował coraz goręczkowiej, gonił przygasające blaski słoneczne. Postać otyłej, bezbarwnej jejmości w uroczystym czepcu zaczęła rozsiadać się na płótnie i układać bufiaste falbany swej jedwabnej spódnicy. Jeszcze chwila i rysunek miał być gotów. Gdy wtem, wśród ciszy, przerywanej jeno skrzypieniem węgla, rozległ się przeraźliwy odgłos dzwonka.

Wlekalski odskoczył ze złością od stalug i, klnąc siarczyście, rozwarł drzwi naścieżaj. We drzwiach ukazała się mała, niepozorna figurka z czerwonym nochalem i z oczyma jak ciarki. Przed Wlekalskim stał Kucyk.

— Co u pioruna! Czego tu się pętasz! Robotę mam, do stu tysięcy!

— Kiedy nie... — pisnął nieśmiało Kucyk.

— Jakto nie!? Powiadam ci, gamoniu jeden, nie mam czasu! Umykaj!

— Kiedy nie... nieszczęście!...

Wlekalski, który się już był zamierzył, aby drzwi zatrzasnąć, pochylił się ku Kucykowi.

— He! Jakto, co za nieszczęście!?

— A bo oczernili mnie i... i już nie... nie będę się że... żenił! — tu piskliwy głosik Kucyka złamał się i wybuchnął łkaniem.

Krew uderzyła do głowy Wlekalskiemu. Porwał Kucyka za ramię, wciągnął do pracowni i, rzuciwszy go w rozwarte poręcze fotela, huknął groźnie:

— Co się stało!? Gadaj, do miljon! Utrzymajże sobie tego kulfona! i gadaj nareszcie!

— A bo powiedziała mi, że... żebym się na oczy nie pokazywał! — ryknął rozpaczliwie Kucyk.

Wlekalski, którego widok łez o złość zawsze przyprawiał, zachnął się gniewnie.

— Gadaj, knocie jeden, po porządku. Co? — kto? — jak?

Kucyk tchnął dwa razy, pociągnął smętnie nosem i jął bąkać.

— Przyszedłem jak zwykle, do na... narzeczonej, a tu zaraz sama pani Dupont do mnie, że dowiedziała się o moich spra... sprawkach, że za niewiadomo jakiego obieżyświata córki nie wyda i... żebym się więcej na oczy nie pokazywał. Oczernili mnie od najgorszych i to podobno wszystko przez tego stryja, który ma te pla... place, co miałem dostać w posagu. I teraz

wszystko przepadło, i Żanetka, i te pla... place. Sto tysięcy metrów! — Kwadratowych!

Wlekalski mierzył wielkimi krokami pracownię.

— Hm. Oczernili, oczernili. I niby cóż powie-dzieli?

— Że niby jestem najgorszy *worię* i przepadło wszystko. Domek z ogrodem też...

— Głupi jesteś.

Kucyk kiwnął machinalnie głową.

— Przecież musi coś w tem być.

— Ano ten stryj, co ma te pla... place!

— Stryj, stryj... ale musiał się czegoś dowiedzieć. Trzeba było babie wytłumaczyć.

— Tłumaczyłem, mówiłem: *Moa zem mademua-zel, moa omdeletr.* — A ona mi ciągle: *Fisze moa lape, fisze moa lape...*

Wlekalski splunął z obrzydzeniem i jął dalej mierzyć krokami pracownię. Kucyk tymczasem precz bąkał jedno wkoło. Uciszony, zrezygnowany na chwilę, znów wybuchał żałośnie i płakał swych matrymonjalnych intencji.

— Wszystko już było ułożone. Dziś właśnie skończyli tapetować mieszkanie. W ogródku są cztery brzoskwinie i wiśnia. Bielizna już poznaczona i taki cios! I żeby kto, ale ten właśnie stryj, co ma...

— Dosyć ty, ty placu kwadratowy. Bierz kape-lusz! Dalej, idziemy!

Kucyk wytrzeszczył swe małe oczka.

— Dokąd?

— Pyta się jeszcze, idjota! Ale pamiętaj, że ty płacisz *kosza* i *tramy*. Dalej, prowadź, gdzie mieszka ta twoja Dulcyneja z placami i ogródkiem!

— — — — —
Był już wieczór, gdy mistrz Wlekalski, mając za sobą, drepczącego nieśmiało, Kucyka, wkroczył butnie do schludnego saloniku pani Dupont, w ustronnym dworku, na drodze do Wersalu.

Fertyczna służąca dygnęła raz jeszcze przybyłym i znikła we drzwiach, wiodących do dalszych pokoi. Minęła długa, męcząca chwila, aż nareszcie drzwi się otwarły i, do saloniku, weszła zamaszysta jejmość w czarnej, opiętej sukni. Wlekalski skłonił się posuwicie, ale w tej chwili płowe jej oczy dostrzegły, wychylającą się z poza potężnych barów mistrza, drobną figurkę Kucyka, i pulchna twarz jejmości oblała się szkarłatem.

— Czem panu mogę służyć? — zagaiła oschle, miętosząc w swych napęczniałych palcach bilet wizytowy Wlekalskiego.

— Właśnie, właśnie, proszę pani, — ja tu w sprawie mego przyjaciela...

Kucyk, w tem miejscu, westchnął rzewliwie. Dolna warga pani Dupont wysunęła się ku przodowi na znak odrazy. Wlekalski odchrząknął.

— Głęboko przywiązany do placów... to jest do córki łaskawej pani, został porażon... Tak, dobrze mówię, porażon okrutną decyzją, która, niby gromień uderzyła. Jakoweś oszczerstwa nań rzucono

i skompromitowano! Dotknięty podwójnie, bo i w najdroższych uczuciach i w dobrej opinii, zwraca się za mojem pośrednictwem, aby mu przedstawić czynione zarzuty, aby mógł dowieść swej tego ten, to jest, dobrze mówię, niewinności... Przyjaciela mego, pana Chłopeckiego, znam od ten, więc jako przyjaciel, apeluję do wyrozumiałości łaskawej pani, ufając, że dla plotki, dobrze mówię, dla plotki, nie zezwoli na złamanie dwojga kochających się serc.

Wlekalski urwał. Oblicze pani Dupont stanęło w płomieniach. Głowa jej zaczęła się chwiać nerwowo, usta krzywić do ironicznego uśmiechu.

— Tem lepiej dla pana, że pan zna tak dobrze pana *Szlopeki*. Myśmy również usiłowali go poznać a w szczególności brat mego, świętej pamięci, męża. Niema tu żadnych oszczerstw, żadnych plotek. Brat mego, świętej pamięci, męża zebrał informacje o panu *Szlopeki* i dowiedział się z ust jego własnej odzwiernej, że nie sypia w domu. A kto w domu nie sypia, ten hula, ten się włóczy po rozmaitych kabaretach, kawiarniach, słowem jest człowiekiem, któremu córki mojej oddać nie mogę. Takie jest postanowienie moje i brata mego, świętej pamięci, męża. Nie na to córkę wychowałam i dałam jej edukację, aby ją wydać za człowieka, który zażywa tak złej reputacji. Wiedziałam, że pan *Szlopeki* jest biedny i nie widziałam w tem przeszkody, ale skoro pan *Szlopeki* nie sypia w domu...

— Ależ, proszę pani, zaręczam!... Ponieważ ja mieszkam blisko a on mieszka daleko, — więc wraca-

jąc wieczorem, — dobrze mówię, — wracając, zamiast do ten, idzie do mnie. Sypia, łaskawa pani, nawet chrapie, słowo honoru!!...

— To wszystko jedno! — Kto się do stanu małżeńskiego przygotowuje, ten nadewszystko powinien sypiać u siebie w domu i wracać przed północą!...

— Łaskawa pani! Niechże łaskawa pani ma wzgląd przynajmniej na własną córkę!

— Panienska sobie głowę nabiła — to sobie wybije. Żegnam panów.

Kucyk stęknął płacziwie. Wlekalski chciał jeszcze paktować.

— Tylko słówko!

— Ani jednego więcej! Jest to postanowienie nie tylko moje, lecz także brata mego, świętej pamięci, męża, który wyposażył moje panienski. Pozostaje mi więc tylko prosić pana *Szlopeki*, aby mnie tu więcej nie nachodził. Kłaniam!...

Wlekalski spochmurniał nagle, skłonił się niedbale jejmości i, zakławszy pod nosem, pociągnął za sobą, trzęsącego się, zapłakanego, Kucyka.

Gdy, przebywszy sionkę i ogródek, znaleźli się znów na drodze przed dworkiem, Kucyk jęknął boleśnie.

— Cicho, mazgaju, znajdziesz sobie inną!

— Bo patrz, patrz! — jęczał dalej Kucyk, wskazując Wlekalskiemu na oświetlone okno dworku, na tle którego rysowała się wiotka postać niewieścia — patrz, Żanetka!!...

Mistrz ujął go pod ramię.

— No, chodź, dosyć tego — dalej! Idźmy do *tramu*, bo, psianoga, znów dziś nie będziesz spał w domu!

— Tak, tobie żarty chodzą po głowie, a patrz, tu tu!!

— No i co tu?! Noc, ciemno, pustkowie, wertepy jakieś!

— Place, place, Wlekalsiu, place stryja, tu, precz!! Tędy pójdzie bocznica, rozumiesz, będą wywłaszczali, zapłacą, co zechcesz! A tam, widzisz, gdzie czernieje topola, tam stoi ten, wczoraj jeszcze, mój dworek!...

— Bodajś skisł!

— Dobrze, Wlekalsiu, ale ratuj, ratuj!

— Milcz, do pioruna!

W godzinę później, Wlekalski z Kucykiem dotarł do bramy domu, w którym malarskie swe chronił penaty. Wlekalski zadzwonił na stróża. Kucyk stał przed nim z głową pochyloną. Sfukany kilkakrotnie, nie śmiał ust otworzyć. Stróż z otwarciem bramy nie śpieszył. Mistrz pomstował, kołatał z impetem, aż nagle, tknięty jakąś myślą, zwrócił się do Kucyka i ujął go za guzik od palta.

— Słuchaj, chłopek! Niema rady, trzeba pójść jutro do komisarza policji!

— Policji! — wykrzyknął z przerażeniem Kucyk, któremu błyskawiczna myśl przypomniała jego wędrówkę przez granicę bez paszportu, warszawskie z rewirowym zatargi i całą cyrkułu grozę.

— Oczywiście!

— Ależ, mój Wlekulsiu, niby co komisarz policji może tu poradzić! I wogóle do policji...

— Głupiś! Co innego tam, co innego tu! Jak masz w Paryżu zmartwienie i nie możesz się dobyć, to idź do komisarza policji! Taka jest paryska zasada. Rozumiesz!?

— Nie rozumiem, nie wiem nawet...

— To się dowiesz! — Przyłaż jutro, skoro świt! A teraz — śpiewaj!

Wlekalski potrząsnął Kucyka za rękę i zniknął w otwartej już bramie domu.

— — — — —
Nazajutrz, po nieprzespanej nocy, Kucyk, już około dziewiątej z rana, stanął przed drzwiami pracowni Wlekalskiego, jużci ani myśląc o niezwykłej jego radzie. Aliści, zaledwie zdołał dotknąć dzwonka, mistrz już wybiegł naprzeciwko niego, w kapeluszu, z laską w ręce.

— Jesteś nareszcie! Dalej, żywo, gotowiśmy go nie zastać!

Chłopecki, któremu przez noc całą chodziło po głowie, aby na odwagę się zebrać i spróbować jeszcze apelacji do stryja Żanetki, zaoponował z przeświadczeniem:

— Ależ Wlekalsiu, jeszcze wcześniej, śpi jeszcze!

— Zwarjowałeś! Komisarz policji!!... — Kucyk zbladł.

— Więc jakże ty, więc jakże ty? Naprawdę!? — Ależ to niemożliwe!

Wlekalski schwycił silnie Kucyka pod ramię.

— Głupi jesteś!

— Pozwól przecie, żeby ten komisarz był z rodziny...

— Jest właśnie!

Kucykowi zdało się, że Wlekalski żartuje, szedł więc za nim bez protestu, gdy, naraz, woddali, zagrała mu trójkolorowa chorągiew, zawieszona ponad sienią domu, w perspektywie ulicy.

Kucyka dreszcz przeszedł.

— Słuchaj, Wlekalsiu! — Ty sobie żartów ze mnie nie strój, bo...

— Bo co!?

— Bo nie mam paszportu...

Wlekalski splunął pogardliwie.

— Idziesz ze mną?

— Idę, ale do tego nie pójdę!...

Wlekalski ściągnął brwi groźnie. Ciężka jego ręka przytłoczyła wątłe ramię Kucyka.

— Masz zmartwienie, czy nie masz!?

— To jest...

— Gadaj, masz, czy nie masz!?

— I owszem, ale...

— Więc pójdziesz do komisarza!

Kucykowi w oczach pociemniało; protestował jeszcze, prosił, błagał, tłumaczył, napróżno. Mistrz ciągnął go za sobą, więził w żelaznym uchwycie ręki.

Zresztą wszelki opór Kucyka stał się niebawem bezcelowym, bo oto już mignęła mu granatowa tunika policjanta, strażującego w bramie, a tuż, potem, ogarnął go przenikliwy, specyficzny, a dobrze mu znany zapach urzędu policyjnego. Kucykowi hen, pod czaszką, błysnęła filozoficzna uwaga, że wszystkie komisariaty na świecie pachną jednakowo, ale na głębsze skryształowanie jej nie miał czasu, ile że wnet znalazł się był w niewielkiej, schludnej izdebce, przed chudem obliczem podstarzałego jegomości z wyczernionymi wąsami.

Uroczysty głos Wlekalskiego rozwiął ostatnie mgły nadziei Kucyka.

— Panie komisarzy — zagajał mistrz — jestem Wlekalski, artysta malarz, z *Salon de Mars*, a oto... mój ten... *monsieur Szlopeki*, dziennikarz i *omdeletr*... Ciężkie utrapienie właśnie mego tu sprowadza kom-patriotę, a zarazem ufność — dobrze mówię — ufność, że pan komisarz nie odmówi...

— Jeżeli tylko będę mógł.. o cóż to chodzi?

Wlekalski jednym tchem opowiedział dzieje narzeczeństwa Kucyka i ich niefortunny epilog.

Komisarz wysłuchał cierpliwie, zabębnił palcami po stole i, wydawszy policzki, kiwnął się melancholijnie.

— Phy!... bardzo współczuję, ale to sprawa prywatna... Pan tutaj dał powód, złe języki dokonały reszty...

Kucyk stęknął żałośnie.

Komisarz poprawił się na siedzeniu ze współczuciem.

— O tak, złe języki dużo złego mogą... a kodeks przeciwko nim nic właściwie! I ja także, proszę pa-nów. I ja także! Bardzo żałuję! Prywatna sprawa.

— Chociaż i publiczna, panie komisarzy!

Komisarz podniósł do góry swe krzaczaste brwi, Wlekalski ciągnął dalej.

— O cóż bo tu idzie? — O małżeństwo! A małżeństwo jest nadewszystko instytucją publiczną, a dopiero i prywatną...

— Chcesz pan przez to powiedzieć, że podczas dawania ślubów wszystkie drzwi muszą być otwarte...

— I to także, panie komisarzy! Ale idźmy dalej! Z czego składa się państwo? Z departamentów, okrę-gów, gmin, rodzin... czyli małżeństw. Czyli małżeń-stwo jest instytucją państwową!

— Bardzo słusznie.

— I tu właśnie idzie o taką państwową instytu-cję!

Komisarz ściągnął policzki i wydłużył usta w tu-lejkę. Kucyk siedział, jak skamieniały.

— I nietylko o tę instytucję, ale i normalny przy-rost ludności, i o potrzebny kontyngens rekruta, i o od-dalenie tego widma, grożącego ziemiom rzeczypospo-litej wyludnieniem! Stąd ochrona, popieranie małżeń-skich intencji.

— Jest oddawna obowiązkiem władz wykonaw-czych, mój panie! Policja, sądownictwo oddziałują

wytrwale w tym kierunku, lecz nie w podobnych, jak ten, razach! Nadewszystko ten tu pański przyjaciel, jest cudzoziemcem...

— Przepraszam pana komisarza, nie jest żadnym cudzoziemcem, tylko Polakiem!

— Doskonale! Pan ten jednak swem nieogłędem — nie chcę powiedzieć niemoralnem, — życiem dał sposobność do ukucia przeciwko sobie łatwej plotki, a może nawet słusznego oskarżenia!...

— Za pozwoleniem pana komisarza! Przypuśćmy, że ktoś widział pana komisarza w jakimś kabarecie...

Komisarz poruszył się niespokojnie.

— Albo przypuśćmy, w „Olimpji“. I wysnuł stąd, krzywdzącą moralność pana komisarza, bajkę, nie zastanowiwszy się, że pan komisarz ma obowiązek wiedzieć, co się dzieje w „Olimpji“ a co w „Moniko“...

Komisarz wydał policzki.

Wlekalski mówił z impetem.

— W tem samym położeniu jest mój przyjaciel. I on musiał wiedzieć gdzie, co, jak. Pan komisarz rozumie, dziennikarz wszędzie musi. Dobrze mówię, musi!... O!!... — I nawet żeby, żeby nawet się umizgnął do Czarnej Lili, co ma myszkę na lewym policzku...

— Na prawym! — zaoponował komisarz, przytkając zawadjacko palcami.

— Prawda, panie komisarzu, jestem mańkutem, na prawym! — Więc, niechby nawet. Młody czło-

wiek! Każdy młody człowiek musi. I pan komisarz także przez te ognie przechodził...

Komisarz poprawił nieznacznie peruczki.

— Przechodził, przechodził. Hm, cóż, młodość broi ale też się młodości dużo wybacza...

— Złote słowa, panie komisarzu. A cóż dopiero, gdy ta młodość zmierza do statku! Inni, panie komisarzu, na jego miejscu jeszcze *fiu, siu*, — a on już poważnie, do ołtarza i do mera. To jest, przepraszam, wskutek rozdziału Kościoła z państwem, najpierw do mera a potem do ołtarza. Młody człowiek wyrzeka się wolności, idzie odważnie na ciężkie zapasy z przysłą teściową...

Komisarz spojrział z szacunkiem na skuloną postać Kucyka.

— Buduje, dźwiga z trudem fundamenty przyszłego domowego ogniska, a tu niegodziwość ludzka rozwala mu je w gruzy. Serce skrwawione, rozdarte. Żanetka, domek z ogródkiem, cztery brzoskwinie, bielizna poznaczona, wszystko przepadło.

— I pla... place, — rozplakał się Kucyk.

Wlekalski szturchnął ze złością przyjaciela. Komisarz wytarł nos z hałasem.

— To bardzo smutne, mój panie *Lekalki*, lecz cóż ja mogę poradzić?

— Owszem, panie komisarzu, bo tu jest oszczerstwo...

— Moznaby coś, gdyby istotnie było. Sam pan przyznaje, że młodość...

— Prawda, panie komisarzu, — wykrzyknął z triumfem Wlekalski, — ale jest *dyffamacja!*...

— ?!!

— Tak *dyfffamacja!* Młody człowiek oświadcza się, jest przyjęty, wyprawa w robocie, dzień ślubu wyznaczony, — a tu nagle ktoś rozsiewa prawdziwe, lecz krzywdzące wieści... To jest, dobrze mówię, *dyffffamacja!*...

Komisarz nachmurzył się, wtulił głowę w ramiona i zastygł w bezruchu.

Przez chwilę cisza głęboka zaległa kancelaryj. Aż, naraz, oczy komisarza spoczęły na czerwonym, nabrzmałym łzami nochału Kucyka.

— Jest dyfamacja! — zaopiniował surowo komisarz i brzdęknął energicznie dzwonkiem.

We drzwiach ukazała się rozczochrana głowa kancelisty.

— Jest Henri? — Niech tu przyjdzie.

Głowa zniknęła we drzwiach.

Komisarz zwrócił się do Wlekalskiego.

— Właściwie jest to rzecz sędziego pokoju. Skarga powinna być na piśmie, no ale niby prewencyjny krok...

Do kancelarii wszedł barczysty jegomość, w ciemnej kusej marynarce, o szerokiej, opieklej twarzy, nastrożonych, rudych wąsach i łysem, wyświeconem ciemieniu.

— A to pan, panie Henri! — Otóż, panie, ten pan... Jak się nazywa? — Aha, — *Klopeki!* Owóż

pan *Klopeki* miał się żenić z panną Dupont z pod Wersalu. Tymczasem rozpuścili o nim wieści, że prowadzi się niemoralnie, słowem doprowadzili do zerwania małżeństwa. Trzeba dopomóc młodemu człowiekowi i dojść, kto mianowicie te wieści rozpuszczał. Niech więc pan uda się z tymi panami do domu pani Dupont...

— Uważam, panie komisarzu! — przyświadczył basem pan Henri.

— Tylko że, panie Henri, z uwagi na przedmiot sprawy, trzeba to przeprowadzić niezupełnie oficjalnie, a nawet ze względu, iż pani Dupont mieszka pod Paryżem, więc nie w naszym okręgu, załatwić raczej półoficjalnie...

— Uważam, panie...

— Chodzi tu poprostu o ankietę przedwstępną. Zresztą sam pan będziesz wiedział najlepiej, kiedy stanąć na ćwierć oficjalnym gruncie, — zaopiniował komisarz a, zwracając się do Wlekalskiego i Chłopcokiego, dodał. — To wszystko, moi panowie, co mogę narazie uczynić. Inspektor Henri zbada sprawę i. w razie czego, ułatwi koncept do skargi sądowej...

— — — — —

Gdy, w kilka chwil później, Wlekalski z Kucykiem znaleźli się na ulicy, ten drugi, nie bacząc na idącego za nimi pana Henri, stęknął rozpaczliwie:

— Na Boga, co ty wyrabiasz! Oni mi tego łapacza do śmierci nie darują!...

— Dobrze jest i koniec!

— To sobie z nim idź sam, a ja z wami nie pójdę!

— Nie pójdziesz — zaśmiał się szyderczo Wlekalski — a paszport masz?!...

Kucyk skulił się we dwoje z przerażenia.

— Desperuje mi, panie inspektorze — ozwał się Wlekalski po francusku, — złamali mu, panie, dobrze mówię, złamali mu i ten!...

— Ano, to jedźmy! Pod Wersalem, więc mamy tramwaj przy Luwrze.

Wlekalski spojrział na swą stalową cebulę.

— I dwadzieścia minut czasu! Akurat starczy na kieliszek wermuthu. Chodźmy!

— Ano chodźmy — przyświadczył basem pan Henri.

Skręcili do kawiarenki, w pobliżu Luwru i, zapijając wermuth, poglądali na, odchodzące w stronę Wersalu, tramwaje.

Kucyk siedział ponury, zapatrzony w złotawy płyn trunku. Wlekalski czynił honory i, z właściwą sobie furją, wtajemniczał pana Henri w ciężkie strapienie Kucyka.

Po trzeciej kolejce zajęli nareszcie we trzech miejsca w tramwaju i dojechali nim nawet szczęśliwie do Auteuil. Tu przecież, Wlekalski, poradziwszy się swej stalowej cebuli, zarządził przystanek, twierdząc, nie bez słuszności, iż, o godzinie 12-tej w południe, nie wolno nikomu uchybiać republikańskiemu zwyczajowi i zakłócać godzinę śniadania, a natomiast każdy ma

obowiązek śniadaniem tę godzinę uszanować. Dla tej przyczyny, ledwie około czwartej po południu, inspektorowi Henri i jego towarzyszący dworek pani Dupont raczył ukazać swe strzeliste zręby.

Ale co trzej towarzysze podróży stracili na czasie, to zyskali na przyjacielskiej harmonji i na determinacji.

Inspektor Henri był wskroś przejęty sprawą Kucyka i tak dalece, że mu w ciągnięciu nosem sekundował a, wywdzięczając się szczerością za szczerść, zwierzał mu się ze wszystkich swych utrapień, pomstował na prefekta, na psią służbę, lichą płacę i na całego republikańskiego *gouvernement* nikkzemność.

Z tych serdecznych wynurzeń, oczywiście, wynikł pewien w postaciach kompanów nieporządek. Baczny atoli Wlekalski, w obliczu żelaznej furtki, wiodącej do ogródka i do sieni domu pani Dupont, zdołał to wszystko do ładów doprowadzić. Tęga sójka w bok, dana, po przyjacielsku inspektorowi — wróciła mu doreszty marsową postać przedstawiciela śledczej władzy.

Dworek tymczasem snąc zawczasu wypatrzył przybyszów, bo, za ledwie głos dzwonka się rozległ, wionęła ku nim fertyczna służąca i oświadczyła impertynencko:

— Pani nie przyjmuje.

— Ale przyjmie — odparł basem pan Henri. — Proszę powiedzieć, inspektor policji, z rozkazu komisarza!

Służąca drgnęła, rozszerzyła ciekawie swe wylu-
piaste oczy i pobiegła w stronę dworku.

Kucyk, któremu oświadczenie pana Henri wró-
ciło świadomość grozy położenia, przypadł do ra-
mienia Wlekalskiego.

— Zmiłuj się, powiedzże mu, że tu idzie o cały
mój *avenir*, powiedz, powiedz, o *avenir*, o wszystko...

— I o pla... place... ty, ty, kwadratowy!

— O co idzie? o co?

— Żeby pan, panie inspektorze, pamiętał, że tu
idzie o jego przyszłość... więc ostro do baby!

— To się wie!

— Pani prosi! — wtrącił dyszkant zadyszany
służącej.

Pan Henri stuknął z fantazją sękatym kijem i ru-
szył miarowym krokiem w głąb dworku.

Wlekalski wysunął się za nim. Kucyk dreptał za-
sapany na ostatku.

Pani Dupont stała już w saloniku, blada, wzru-
szona do głębi niespodziewaną wizytą.

Pan Henri wszedł butnie, skinął niedbale pani do-
mu i zarekomendował się uroczyście.

— Inspektor policji, Piotr Henri, odkomendero-
wany do komisarjatu dziewiętej dzielnicy z rozkazu
komisarza...

Pani Dupont wydała jakiś nieokreślony, niearty-
kułowany dźwięk. Pan Henri odchrząknął basem
i zaczął!

— Ten pan tu, pan Jan *Klepiki*, był narzecz-

nym córki pani, miał się żenić, gdy oto doniesiono
pani niepochlebne o nim wieści... Pani oczywiście
i słusznie odmówiła mu ręki swej córki, zerwała mał-
żeństwo... Wszak tak?

— Tak! — szepnęły cicho drżące usta pani Du-
pont.

— Młody człowiek ucierpiał na tem mocno i ucier-
piał dwukrotnie, bo nietylko wskutek zerwania mał-
żeństwa, ale i wskutek zepsucia mu reputacji! Pani
rozumie, że reputacja dla młodego człowieka zna-
czy niezmiernie wiele. Córki swojej ma prawo mu
pani nie dać, ale reputacji dobrej odbierać mu pani
nie ma prawa...

— Ależ...

— Tak, proszę pani! Dobra reputacja to wszystko
dla młodego człowieka, bez niej nie dostanie ani palm
akademickich, ani legji honorowej, ani konsensu na
sklepek z tytuniem! Kto dobrą reputację człowiekowi
psuje, ten go krzywdzi materjalnie, a kto krzywdzi,
ten idzie pod sąd!

— Ja... nigdy pana *Szlopeki* nie skrzywdziłam...
niech sam pan *Szlopeki* powie...

— A kto rozsiewał wieści, że w domu nie sypia,
że niewiadomo co wyprawia?!

— Ja, ja rozsiewałam! Przeciwnie, kiedy mi brat
mego, świętej pamięci, powiedział to i owo o panu
Szlopeki, łzami się zalałam, bo uważałam go już za
członka rodziny... I nic, nic nie mam przeciwko panu

Szlopeki a jeżeli byłam zmuszona — to pan rozumie, skoro brat mego świętej pamięci...

— Aha, więc to pani szwagier...

— Tak i sam panu w tej chwili powtórzy. — *Suzanne, Suzanne*, biegnij do pana Remigjusza, powiedz, że inspektor policji ze sprawą. — Tak, nigdy inaczej nie poważylałabym się...

— Zaraz się przekonamy.

— I nigdy nie miałam do czynienia z policją. — A nie, owszem, kiedy się raz zapaliły sadze, — same się zapaliły, — i drugi raz kiedy pies pani Bompard rozdarł kaftanik naszej służącej. Ale żeby dziś tak niezasłużona kompromitacja — to nie do uwierzenia!

Pani Dupont osunęła się na krzeselko.

— Jakże pan mógł, panie *Szlopeki*, mnie o coś podobnego!...

— Ja, ja, proszę pani...

— On nigdy nie posądzał, — przyświadczył skwapliwie Wlekalski, — jego nawet bolało, dobrze mówię, — bardzo go bolało...

Mistrz urwał w pół zdania, ileże do pokoju wtoczył się pękaty jegomość. Wklęśłym noskiem się nastawił, siwej czupryny przyglądził, koziej bródki musnął.

— Właśnie brat mego świętej pamięci...

Pan Henri się nasrożył.

— Więc to pan?...

— Tak, to ja.

Inspektor natarł obcesowo. Pan Remigjusz zmie-

szął się a w ostatku wybuchnął nieszczerym śmiechem.

— Cha-cha-cha-cha! — Więc pan niby mnie posądza, że niby ja? — Cha-cha-cha!!

— Nie posądzam. Pani Dupont oskarżyła pana, przy świadkach oskarżyła...

— Mnie? Mnie i przy ten?!...

— Mówiłeś przecież, Remigjuszu, że pan *Szlopeki*... nie sypia...

— Mówiłem! — Ależ, Minetko, nigdy w złej myśli! — Nie sypia, — nie sypia! — Cóż w tem zdrożnego. — Ja sam cierpię na bezsenność...

— Pan brat mówił wyraźnie.

— Mówił, mówił ale tylko z życzliwości dla pana Jana, a pani bratowa z igły widły! Panie *Szlopeki*, daj, niechże cię uściskam. I pamiętaj, że zerwanie nie z mojej nastąpiło winy. Widzi pan, panie inspektorze, co może babskie gadanie!

— Babskie gadanie!! — wykrzyknęła z oburzeniem pani Dupont i otwierając boczne drzwi, rozkazała surowo. — Żanetko! — Chodź tu i rzuć się panu Janowi na szyję!

Kucyk zginął w objęciach dorodnej panny Żanety. Wlekalski przysunął się do pani Dupont dla ostatecznego załagodzenia sprawy. Stryj trącał jowialnie inspektora. Ale ten na formalistykę baczył.

— Jakże więc mam zaraportować komisarzowi?

— No, że rorodzonego... strystryjka nie będę procesował o pla...

- Więc zgoda?
 - Zgoda — zgoda!
 - Ale pod jednym warunkiem, — huknął Wlekalski, — że pana inspektora zaprosicie na weselną ucztę a pana komisarza dziewiątej dzielnicy na družbę.
- — — — —

Humorystyka życia znalazła niebawem doskonalszy epilog. Mistrz Wlekalski oślepił i legł w grobie.¹ Kucyk jeszcze przez lat kilkadziesiąt handlował placami.

ORJENTACJE

¹ W roku 1909.

Wyskoczył z umywalni, kulnął się na dywaniku, i leżąc na plecach, jął wykonywać rytmiczne ćwiczenia. Złoty promień słońca, wdzierający się poprzez otwarte okno, ślizgał się z upodobaniem po natężonych mięśniach, pieścił smukłe, matowe ciało młodzieńca.

Aż kłęb ostrego, niecierpliwego dymu wionął z kąta izdebki.

— Włodek, przestałbyś!...

Skrzywił się za całą odpowiedź, dźwignął i już w pozycji stojącej prężył ścięgna, wyginał się, przysiadł, w ostatku zaczął dreptać na miejscu, symulując tempo przyśpieszonego biegu.

Z kąta wychyliła się strączkowata, konopiasta czupryna.

— Ty derwiszu opętany!

Nie zważał. Oklepywał teraz wypuczoną klatkę piersiową, klaskał dłońmi po własnym ciele.

— Ty gorylu, ty małpozwierzu!

Zadartym a zakrzywionym nieco małym nosem pociągnął i odparł zgryźliwie.

— Jeżeli, butwiejący idjoto, nie rozumiesz się na kulturze ciała, nie przeszkadzaj innym.

— Pan Włodzimierz Schlauch mówi o kulturze, to się nazywa kultura! — Nie każ mi tym rozpylaczem fryzjerskim.

— Wolisz zaduch kaporalą. Dobrze ci we własnym kwasie. Pan Kazimierz Rodek boi się uronić zapaszku domowych pieleszy.

— Nie mam czego się zapierać.

— I dlatego żałujesz mi tej odrobiny higieny, tej imitacji sportu. Od pięciu tygodni pływalnia zamknięta, kąpiele zamknięte, sala gimnastyczna zabita deskami. Duszę się, dławię, rady dać sobie nie mogę. A ty jeszcze się natrząszasz...

— Podkreślam, że mieszka nas dwu.

— Cóż, byłbyś sam, gdyby nie Stefka, co się narpała czekać na barona. Siedziałbym sobie dzisiaj w Amsterdamie i patrzył spokojnie, kto kogo położy na łopatki.

— I nawet wyobrazić byś sobie nie umiał Paryża czasu wojny.

— Cóż ciekawego? — Pustka, głusza, kto zdołał ten umknąć. Rząd, dyplomacja, arystokracja, burżuazja wszystko drapnęło do Bordeaux.

— Zapominasz o krocjach, które poszły na front.

— Więc właśnie, — baby ogłodzone, dziadostwo niedołężne, pokracstwo męskie, dzieciarnia proletariacka i te chamidła uzbrojone, gotowe ci za byle przyczyną bagnetem w żołądku zaświdrować. Dy-chajże teraz bez komunikacji, bez światła, bez kawiarni, poluj na funt cukru i strzeż się, aby ci bomba z aeroplanu na łeb nie spadła a pierwsza z brzegu przekupka nie zezwała od tchórzów zadekowanych.

— Dziwić się nie można.

Schlauch rozparł się teraz w trzcinowym foteliku, omotawszy się zlekka płóciennym szlafrokiem.

— Wcale się nie dziwię, ale wolałbym tego nie oglądać.

— A nasza szkoła nauk politycznych.

— Więc nie wojskowych.

Rodek łysnął złośliwie parą szarych oczu po mięsistych łydkach Schlaucha.

— Coprawda twoja kultura akuratby pasowała do szeregu.

— Do szeregu? — Ja? — Chyba zwarzjowałeś!

— Gdybyś był w Warszawie a nie nad Sekwaną...

— Mogłoby mnie spotkać nieszczęście.

— A jak im przyjdzie ochota przeprowadzić mobilizację rosyjskich poddanych?

— Widzę, że ci prawo międzynarodowe wywie-trzało.

— Jeżeli Rosja, jako państwo zainteresowane, sama zażąda...

— Ani mowy. Nie znasz Francji. Lekka presja moralna — wywrą oczywiście taką presję, — naiwny, kto ustąpi. Główna, żeby przetrzymać.

— Nasi jednak ruszyli.

— I cóż to za ruszenie? — Garstka legionistów po stronie Austrii. — Nieuleczalny romantyzm a z drugiej strony czarnożółty manewr, mydlenie insurekcją przeciwko Rosji. Głupstwo, utopje!

- Coś z dziesięciu uciekło przez Szwajcarję.
- Nie starczy ich na jeden granat.
- Ten krawczyk, — pamiętasz, — jest już w Ba-jonnie.
- Znów głupstwo.
- Chyba z półtora tysiąca zaciągnęło się do Le-gji Cudzoziemskiej.
- Na co? — Po co? — Chyba dla kęsa chleba i miski soczewicy.
- Tylko nie bądź brzdącem. — Zaciągnęli się, bo inaczej nie szło. Siedziałeś w Wersalu — to nie wiesz. Czesi sypnęli, Grecy, Amerykanie, Rumuni, Skandy-nawi, nawet Włosi, nawet Żydzi stanęli na hasło bro-nienia Francji, jako ogniska zachodniej cywilizacji.
- Nabechtali cię na ulicy Notre-Dame-de-Lo-rette, w sławetnym Komitecie Wolontarjuszów, kędy pięciu panów trudzi się na sześć orderów.
- Pyskujesz, — byłoby źle, gdyby imienia Pol-ski zabrakło.
- I Niemcy nie mieliby się do czego przyczepić!
- Prosta wdzięczność tłumowi emigranckiego, tra-dycje braterstwa broni...
- Mówisz kategorjami nierealnemi. Szkoda ka-żdej kropli krwi dobrowolnie przelanej. Zresztą ja trwam na gruncie czysto polskim, — a ty skłaniasz się raczej do moskalofilstwa. Nie unoś się, Francja jest sojuszniczką Rosji, stąd oświadczenie się za Francją...
- Wolisz germanofilstwo?
- Jest to drugi kraniec.

- Cóż więc, według ciebie, należy?
- Czekać i wyglądać orientacji.

— — — — —

Nazajutrz ledwie na dziesiątą zwłókł się Rodek z posłania, zmiętoszony, niewywczaśem utrudzony. Ani mu do snu było ani do czuwania. Z dobą blisko zbałamucił. Najgorsza była noc. Próbował czytać, ale musiał kołdrami okno zasłaniać, aby, jako rozkaz wy-magał, światelkiem nazewnątrz nie łysnąć. Gdy zaś gasił lampkę i powietrza szukał, darł mu się razem z niem miarowy, głuchy łomot armat i bełtał mu wą-tek myśli. Na rozbrzasku łomotanie przycichło nieco, lecz po dłuższej pauzie jeszcze zajadlej targało. Te-raz już nietylko szyby burczały ale z umywalni wtó-rzyły im kubki i blaszanki.

Zapamiętałe, ścierwy. Trucizny niema na to zbó-jectwo!

Schlauch jak poszedł wczoraj do Frodymów tak przepadł. Do babieńca się dostał i na wyżerkę trafił, Włodziutek. — Pewnie się tam cała sesja odprawia, czterdziestogodzinne pytlowanie. Choć po nocy wra-cać nie mógł. — Przebieglec i spryciarz. — Ma ra-cję, co tu nadstawiać kopytka. Mocarstwa się biorą za bary. — I te Francuzy, — czerwone portczyny, kamaszki białe, na guziczki zapinane! A tu, powiada-ją, szwabiska prawie w samem żelazie, — na glinie są jak glina, na polu jakby chwasty. — Sportowy cwaniak, — przykro go słuchać ale może jako każdej trzeźwości.

Na westchnienie mu się zebrało.

Niechby więc tak, — jeno mu ta Prosna nie daje spokoju. Trzy razy się ocykał trzy razy widziało mu się we śnie, że stoi na brzegu w rokicinie i gapi się na młyn w Plewach. Musi tam już prusacki porządek. Józka pognało, — gdzieby taki wysiedział. Ciotka Teofila sama się użera. — Wojna! — A ci precz grzmocą, dobijają się, jakby wrótnię do Atlasu wywalali.

Ogarnął się, nastawił maszynkę, rozejrzał w ubogich wiktuałach i zbiegł po ciemnych schodach do kancelaryjnej norki hoteliku.

Sucha jejmość odmruknęła mu na dzieńdobry i, po chwili wahania, odłamała połówkę bułki chleba.

— A mleko? — szepnął niepewnie Rodek.

— Niema mleka.

— Jakież dzisiaj nowiny? — bąknął, czując potrzebę ozwania.

— I cóż to pana może obchodzić! — warknęła i podreptała do kuchenki.

Zawrócił na czwartaka. Kęsa chleba ugryzł, herbatą popłókał, dymem papierosa się zakrztusił.

Wygarnęła mu hotelarka. — Mąż poszedł, syn poszedł a tu się jej obcy wtrąca. Takiego czasu wolej na własnej ziemi.

Drzwi rozwarły się z hałasem.

Schlauch, — był Schlauch, wymuskany, woniejący.

Rodek aż mu się ucieszył.

— Jesteś włóczynogo. — Prosto od Frodymów? — Przekiwałeś się na stolku.

— Oka nie zmrużyłem. Całą kolaję wystawili. Piętnaścioro rozmaitego kompatrjoctwa się zebrało. Siedem butli wina. Uciecha okrutna. Nie zgadniesz. — Antek Frodyma w niewoli...

— U Niemców!

— Odebrali pocztówkę przez Szwajcarję z Gefangenenlager w Zerst. Ma numer dwa tysiące sto, zdrów i cały. — No powiedz, powiedz jakaż bajeczna organizacja. — Wspaniale! — Tydzień temu wyruszył z koszar.

— To straszne!

— Kpisz chyba. — Frodymowie popłakali się z uciechy. — Mają spokój z Antkiem do końca wojny.

Rodek strzyknął śliną. Schlauch wzdrygnął się na taki nieobyczaj i, ściągawszy marynarkę, nadziewał ją na poręcz krzesła.

— Cóż więc się nareszcie dzieje?

— Nie czytałeś rannego biuletynu? — Masz, — są pod Chelles.

Rodek dopadł rozłożonej na stole mapy okolic Paryża.

— Gdzie szukasz, — dziewiętnaście kilometrów, obok Raincy. — Raincy ewakuowane. Bulwarem Orleańskim całe sznury uciekinierów wlecze dobytek. Panika, jutro mogą być w Paryżu.

— Bosze?

— A nawet i dziś jeszcze. — Nie słyszałeś? Samochodami, autobusami rwali przez Paryż, aby odrobinę rezerw dowieźć.

Rodkowi czupryna się najeżyła.

— U Frodymów był komendant Mletecki jechał prosto z frontu. — No, już po wszystkim. — Rzym z Washingtonem mają interwenjować. W Fontainebleau chwycono patrol ułanów pruskich. Na rogatkach kopia transze...

— Paryż to jeszcze nie Francja.

— Żartujesz! — Paryż to zwycięstwo, — oskrzydlenie głównych sił, rozbicie węzłów kolejowych, to Rouen, to Havre, to Niemcy na La Manchy.

Rodek zatoczył się i porwał za kapelusz. Schlauch się raptem zatrwożył.

— Idziesz? — Pozwól, chciałem, mówiłem ci, jeżeli możesz mi pożyczyć?...

Rodek przystanął, sięgnął za pazuchę.

— Mam dwie stówki, — bierz jedną, niech cię choroba! — Książki, rupiecie, gdybym nie zdążył, oddasz hotelarce.

Slauch spojrział na niemrawą, kłębiastą postać kolegi z wysokości swej pośmiglej.

— Ale, bo co właściwie zamyślasz?...

Rodek łypnął krwią nabiegłemi oczyma.

— Nareszcie i ja, psia krew, mam o czemś z prusactwem do gadania!

Długie, ponure miesiące twardej służby legjońskiej. Szrapnel łaskawy raczył w ostatku skrobnać po łopacie i wypromował Kazimierza Rodka na żołnierza pierwszej klasy i na cały miesiąc lizania do prowincjonalnego ambulansu odesłał.

Rodek odetchnął. Wszystko, co przeżył było zmorą, przywidzeniem a wszystko dzisiejsze pogodnem, niefrasobliwem zażywaniem pieczy i wygód w bogatym pałacu jakiejś wytwornej damy.

Rok, rok zgórą minął, przeleciał, ów rok, którego jedna minuta umiała starczyć za lata.

Lecz owóz na werandzie parkowej się wyleguje, rój białych spódniczek, pęki kwiecia, świergot ptasząt, rozmarzonych liści szelesty.

I w kilka dni list, — pierwszy list, list od Schlaucha i całe dwadzieścia „franciszków“, — list z Biarritz.

Rodek był wzruszony.

„Kochany, — pisał mu kolega ze szkoły i szlafkamrat z hoteliku paryskiego, — dostałem przypadkiem Twój adres od Bubelskiego, który tu się poniewiera na rekonwalescencji. Domyślasz się, że mamy piekielne nudy. Biarritz wygląda jak lazaret. Jesteśmy ze Stefką, ale baron działa mi już na nerwy, — lecz jest nadzieja, że się wojna za kilka tygodni skończy. — Profesor Gide pytał się o ciebie i gorąco prosił, abyś go w Paryżu odwiedził a nawet na urlop do niego przyjechał. Dobry chłop. — Takie czasy, nawet ekonomiści są dziś „bogoojczyźniani“. — Wysyłam Ci dwadzieścia franków, — nie mogę więcej,

bo zgrałem się wczoraj w „koniki“. W szkole politycznej jesteśmy po dyplomach, kurs przyśpieszony, nikomu papieru nie żalowano. — Domyślasz się dlaczego, — pośrednie zaproszenie do transzy. — Gdybym mógł się wydostać na grunt neutralny, — tylko na neutralnym gruncie można coś zdziałać. Wydrukowałem kilka artykułów, bardzo się podobały, wywarły nawet wrażenie. Życzenia najlepsze i uściśnienia“!

Rodek zmiął list, zapatrzył się, strzyknął śliną i zapalił papierosa.

— — — — —

Ciężki był koniec roku szesnastego dla Legji Cudzoziemskiej. Poharatało ją mocno a już chyba najboleśniej kompanję, w której tkwił ciągle sierżant Kazimierz Rodek. Szesnasty rok wymiółł mu z szeregu najlepszych towarzyszków broni, wtłoczył całkowicie między różnojęzyczną czeredę. Jeden Wyrozębski z Górskim Stanisławem ze starej trzymali się wiary. Resztę rozegnało, wytłukło.

Wieści znikąd. Czasami komitet paryski na paczuszkę się zdobywał, czasami gazetka polska raczej smętku aniżeli ochoty przyczyniała.

Stąd niepomału zdziwił się sierżant Rodek, kiedy mu furjer kompaniczny zafasował brzuchaty, ważki pakunek a jeszcze bardziej się zdziwił, gdy na wierzchu paczki znalazł naperfumowany madrygał francuski z tkliwym dla bohaterskiego żołnierza komple-

mentem, podpisanym „*Madame La Marquise de Monte Rotondo*“. Lecz gdzie się bawić w dociekania, — tabaki jest na miesiąc, czekolady kilo, konserwy smakołyckie, rękawice, sweter, — imieniny albo jubileusz.

Podziękował sierżant markizie a w te pędy — jeszcze staranniej dobrana posyłka a z nią cztery stronniczki czułych zapytań, — a jak tam? — a gdzie? — a kiedy? — a czy nie zimno? — a czy nie atakowali? — a czy wielkie straty? — Chyba równie troskliwej „chrzestnej“ żaden jeszcze żołnierz nie miał. Los, wielki los.

I tuż po tych niespodziankach list od Schlaucha. Drugi list, lakoniczny a tak ważki, że Rodek musiał go sobie i Wyrozębskiemu chyba ze dwadzieścia razy odczytywać.

„Piszę przez okazję. — Jestem tam, gdzie się urodził Jan Jakób. Dzisiejszy „Ementhaler“ jest bajkowy, o takim serze nie masz pojęcia. Kogo sobie wyobrazisz, tu siedzi i działa. Polska gotowa! Widzisz, jednak Austroniemcy się zdobyli! Może bez Poznańskiego i bez Kalisza. Lecz odkądże Kalisz ma być taki ważny? — Drukuję nieco i kieruję się do kucowałachów. Wszędzie teraz agencje, więc dużo sposobności. — Ze Stefką dłużej nie mogłem, rozwód i skończone, niech się baron regaluje. — Dałem twój adres jednej markizie, która jedzie w Twoje strony. Przyrzekła się Tobą zaopiekować. Ma duże środki i słabość do rycerzy. Nie pierwszej młodości, lecz repre-

zentacyjnie utleniona. Byliśmy dość blisko, możesz się nie patyczkować. Krótko mówiąc jadę, może na drugą stronę. To niepożyteczne barbarzyństwo musi się skończyć. Słowem, jeżeli generałem nie zostałeś, to się śpiesz. Orientacje walczą zapamiętałe. Gdybyś chciał do mnie, — adresuj Hotel Select, pod Mr. W. Schlauch de Rurowski, — musiałem w ten sposób dać wyraz mojej narodowości. Bywaj, cny Bajardzie!“

Rodek Schlauchowi nie odpisał. Niby zaczął, lecz się namyślił, że chyba po powrocie z urlopu, kiedy o markizie będzie mógł nadmienić, gdyż, co tu wydziwiać, dobrodziejkę istną mu nastreczył.

Wybierał się też na urlop ośmiodniowy do Paryża, jakby w konkury do przyszłej narzeczonej. Ciekawość go paliła i może większa jeszcze Wyrozębskiego, który doczekać się nie mógł powrotu towarzysza.

Zjawił się nakoniec chmurny, kwaśny.

Wyrozębski z miejsca do niego.

— Kazięk, gadajże na miłość Boską, cóż markiza, jakże markiza *de Monte Rotondo*?...

— *Monte Rotondo*? — *Ponte Vecchio*, mała zielona.

— No, ale zawsze taka dama...

— Szpiegówka! — warknął Rodek i strzyknął śliną.

— — — — —
Poszcęściło się w ostatku sierżantowi Rodkowi. Wyrozębski już się nie doczekał tworzącej się we

Francji Armji Polskiej a Rodek doczekał i odrazu wycelował do obozu instrukcyjnego Camp du Ruchard, w zapadłej, cichej prowincji.

I sierżant Rodek zasłynął jako majster kartaczowych, szybkostrzelnych instrumentów wszelakich systemów. Tam, na północy, formowały się już bataljony polskie, całe pułki, — a w Camp du Ruchard jako pierwszego dnia. Co sześć tygodni koniec szkolenia i co sześć tygodni nowy zastęp różnostopniowych wykolejeńców do przerobienia na jeden ład.

Rodka nachodziły ambicje. Wypraszał się na kursy oficerskie, do których miał prawo niezaprzeczone. Dzieciuchy na podporuczników wyrastały. Ale komendant obozu ani słuchać nie chciał, podania darł. Gdzieżby się najlepszego instruktora pozbył! Mianowano Rodka adjutantem czyli feldfeblem i dalej trzymano na uwięzi. Zawieszenie broni się zaczęło, wojna milkła z kretesem a Rodek precz tkwił w tym „campie“ i „troupy“ mustrował.

Raptem zwinięto obóz i wyprawiono Rodka do bataljonu, niedaleko Paryża. Stąd znów jednym tchem do Kowla, z Kowla pod Lwów, z pod Lwowa pod Kijów, z pod Kijowa do Zwiahla i tak w rozgonie i mordędze bijatyckiej, w maruderskim piechurstwie, do ocalonej ojczyzny, do dymisji, bo i co z tyłego charłaka. Adjutant czyli przodownik sierżancki kuternogą być nie może, zresztą i zdrowego takiego również nie potrzeba.

Wrócił tedy Kazimierz Rodek nad Prosnę. Józka

już nie zastał, więc do ciotki Teofili się przygarnął. Rada w radę, — lepiej na swoim zostawać. Paryża zaniechać i rodaczki patrzeć. Wzenił się tedy w sklep kolonialny, inaczej mówiąc korzenny. Piękny sklep, obrotu niegdy słynnego, jeno ludziska zbiednieli. A tu pani Rodkowa rzetelnej cnoty, dzieci sobie nie żałuje, nie wielkowiejska purchatka, — niech rośnie Rzeczpospolita.

Należało ubocznego szukać dochodu.

Rodek sprawy nie zasypiał. I tu się podawał i tam kołatał. Tymczasem w sąsiedztwie, na poczcie, uczyniła się żałoba. Skromny urząd, ale pod bokiem. Należało działać. Zebrał papierzyska, naukowe kwity, przypiął sobie „Walecznych“ i „francuskiego“ przypiął i lu, na kolej i do wujecznego ciotki, który na warszawskim dworcu, na znacznej posadzie i w stolicy obraca się uprzemie.

Nieco wczas zajechał. Krewniaka nie było jeszcze. Więc po dworcu się wałęsał, z upodobaniem dawno nie widzianego zgiełku oglądał.

Aż tu, pod boczne wejście jęły zajeżdzać urozyste samochody. Dygnitarstwo w powinnym ordynku się zbierało, bo co samochód, żwawsze służby uszanowanie. Rodek chciał zagadnąć policjanta, gdy o kilka kroków przed sobą dojrzał wyskakującego z limuzyny Schlaucha. Lśniący cylinder na tył głowy zsunięty, paletko wcinane, nosek zadarty, niby coś grymaśnie wężący a z pod białego krawata czerwień jaskrawa.

Rodek ani się zawahał, oczy Schlaucha zapatrzyły się w drugą stronę, lecz kolega obces.

— Jak się masz, chłopie, dziesięć lat!!...

Schlauch ożywił się niedbale, kciuka z dwoma pustymi palcami białych rękawiczek podał.

— A wszak Rodek...

— Toś ty na całego dostojnika wyjechał! Bój się Boga, komandorja legji na szyi albo jeszcze gorzej! Człowieku, więc się doskonale składa, bo właśnie chciałem się zaczepić. Uważasz mortus, czworo dzieciaków...

— Za pozwoleniem, jestem w charakterze... Należy do Europejskiego, nie wcześniej jak za dwa tygodnie i możliwie w rannych godzinach...

— Bodaj o świcie! Rozumiesz, byle coś stałego na miesiąc, — trafia się na poczcie...

Schlauch zaczął posuwać się w głąb dworca.

— Trudna sprawa, redukujemy, wszędzie musimy zredukować a przytem twoja orientacja, — nie przesadzam, ale to się bierze pod uwagę.

Rodek zagryził wargi, aby nie rąbnąć i skreślił.

— Dochodziły mnie słuchy, że mieszkasz w Genewie.

— Przeważnie.

— I pozwól, co niby w tej Genewie porabiasz?

Schlauch uśmiechnął się sarkastycznie.

— Czuwam aby podobni tobie zapaleńcy nowych jatek nie rozpętali.

— Walczyłem za ojczyznę i sądzę...

— Raczej wyobrażasz sobie, żeś się przyczynił do jej odzyskania.

— Sześć lat twardej służby!

— Szkoda czasu, miałbyś ją i tak. Owoc, dojrzały politycznie, sam spada w umiejętnie podstawioną siatkę.

— Psiawiarom! — zgrzytnął Rodek, lecz Schlauch już nie dosłyszał, bo wyslizgnął się za kordon, odgradzający dygnitarzy od plebsu.

Natomiast starszy przodownik policji zbliżył się do ex-legjonisty i upomniał.

— Niech się pan oduczy płuć, bo to ciężki grosz kosztuje.

EDEK I FELKA

Z atrzymała się przed oknem wystawowem, zerknęła w stronę bocznej tafli lustra i uśmiechnęła się do własnego zadartego noska.

Szary, wysmukły cień przesłonił jej raptem świetlaną głębię. Odwróciła się, zarzucając na lewe ramię puszystego lisa. Cień wtulił głowę w podniesiony kołnierz marynarki i miał zapaść w falę przechodniów, lecz się splątał i rąbkiem profilu z pod kapelusza mignął. W lot go rozeznała.

— Edek!

Ogarnął ją mętne spojrzeniem.

— Edek, — nie poznajeszże mnie?!

— Felka.

— No przecie! — Co się dzieje? — Sprzedaliście mieszkanie i ani śladu! — Śniłeś mi się wczoraj, — jak Bożię kocham, — żeśmy ganiali po naszym podwórku! — Cóż z tobą wogóle... i ten...

Zachłysnęła się. Chrobot przytłumionego głosu wrócił jej drapieżną natarczywość.

— Aha!, — kiwasz się nad egzaminami. — Psie studenckie, — bo nie wiem! — Djabli mnie brali w handlowce, póki nie zwiałam, — Cooo?!...—Skończyłeś prawo? — Trzy lata temu skończyłeś? — Niemożliwe. — No patrzaj! — Toś się chłopie naharował...

Bystre, czarne oczy ześlizgnęły się z młodej, zgaszonej twarzy Edka i uwięzły na wysiapanych ponad koszlawami buciskami portczynach.

— Bardzo, bardzo... i zatrzymywać...

— Mnie zatrzymywać? — Chyba mam do gadania! — Nie? — Tyle lat, tyle lat! — Chodźmy na pół czarnej.

Edek się wzdrygnął, ziemisty płomień ściemnił mu policzki.

— No idziemy.

— Daruj, — nnie... nie mogę...

— Musisz!...

— Kiedy dziś...

— Ja proszę! — ze mną będziesz stroił, — także!...

Chwyła go pod ramię, przycisnęła swe aksamity do zrudziałego ubrania i ciągnęła ku wnętrzu uroczystej kawiarni.

Złote sychy na granacie uraziły go niemile.

— Oszalałaś, przecież w takim... negliżu nawet mnie nie wpuszczają!

— Ale tam, nie zawracaj! — Chociaż wiesz, — jedźmy pod szóstkę. — Pamiętasz, prowadzałeś mnie tam na pączki. — Pod szóstkę. — Musisz!

Skinęła na taksówkę, wepchnęła go prawie siłą i powiozła.

Chciał paktować, łapczywym całunkiem usta mu zamknęła i zmitygować się nie pozwoliła.

— Widzą? — Niech sobie widzą! — Znam cię

od wczoraj? — Pamiętasz jakżeśmy się całowali w przejściu do piwnicy, aby nas starzy nie zdybali. — Ty, sztubak, paniczyk wycacany, — a ja cóż, strucłówna, — córka stróża! — Bo nie? — A pamiętasz, jakżeś mnie wygwizdywał z domu na klipę? — A w kieszeni zawsześ dla mnie dźwigał smakołyka. — Daj jeszcze pyzia, — niech sobie dawne przepowiem.

Ledwie stanęli przed kawiarenką, szast-prast, zwinęła się i już go sobie usadowiła w najzaciszniejszej framudze i dalej się rządziła.

Machnęła lisem po poręczu krzesła, rozpięła aksamitów, oranżowym spowiła się jedwabiem i „półczarnej“ na całą przerobiła zastawę.

Szyję kołnierzem marynarki otulał, — przy „półczarnej“ się upierał.

— Nie zawracaj. — Jestem wściekle głodna, — jak Bożię Kocham! — Nic od herbaty! — Łysego wywlekło na reprezentacyjny pogrzeb, — urwanie z telefonem. — Buljon. Uuum!... znakomity! — No, dla towarzystwa, — bo wystygnie.

Chrupała rogalika, zapijała hałaśliwie.

Mocował się, nie strzymał dłużej. Drżące palce na fajansowym kubku zacisnął, opierzchłe wargi same doń przyłgnęły.

Wtórowała mu z zapalem, nie zważając, że trzecią bułkę miażdżył. Gdy buljonu dokończył, — podsunęła szynkę.

— Dalej, — wsuwajmy.

— Nie wypijaś buljonu.

— Świetny ale rozbełtali mi żółtko, — a jak sama nie rozbełtam, to nie mogę. — Lecz szynka. — Pycha! — Bierz i ogórasa.

— Nie jesz?

— Łjem!...

Nowym płatem szynki buzię wypełniła i ćpała z desperacką pasją. Edek już więcej nie zważał. Nad talerzem pochylony ledwie ostrzem noża kłaniał się dokładanym kęsom. Nie dziwił się, że mu piwa nie ubywało w szklance, że cielęcina ze sztufadą pchały mu się do widelca. Dopiero w połowie omleta czegoś się nagle zawstydzil.

Felka już przytykała złotą zapalniczką.

— Kawa? — Maszynkę kawy! — Na czym sta-
nęłam? — Aa! — Skończże tego omleta. — Zbucha-
łam dwa razy więcej od ciebie. — Krótko mówiąc,
pożarłam się ze starymi. — Wiesz, — o tego mala-
rza! — Rzuciłam handlówkę i dostałam się na róg, do
kupca. — Mordowałam się, aż jedna Mańka nastre-
czyła mnie do cukierków. — Frajda była taka, że je-
szcze dziś na czekoladę nie mogę patrzeć. Tam zaczął
chodzić „łysy“...

— Łysy?

— No — mój szef! Przez niego dostałam się. —
Nie palisz? — Pal! — I jestem, jakby ci wyklaro-
wać, — sekretarką...

Wykrzywił się sarkastycznie. Z dwu dziurek strze-
liła weń aromatycznym dymkiem.

— Tylko bez byleczego! — Znasz mnie! — Jaka

byłam taka jestem. — Chce się rozwodzić? — Niech
się rozwodzi. — Oko? — Sypię, — a co zresztą, —
akurat! — Urząd mam, etat mam, pozabiurówki
mam, urlopy mam... Gdzie? — Jakto gdzie? — W „Ge-
petecie“...

— „Gepetecie“?... Nie słyszałem...

— W centrali G. E. P. E. T. E. T. E., — czyli
w Głównej Ekspozyturze Pomocniczych Efektów... —
no... reszty nigdy nie mogę spamiętać... Wyście osie-
dli w Milanówku, kiedy twój stary poszedł na eme-
ryturę...

— Brał ją całe pół roku i skończyło się.

— Nie? — Anibym pomyślała. — I jeszcze
tam?...

— Dawne dzieje. Wyprowadziliśmy się po
wszystkiem na Bródno. Matce było bliżej chodzić...
o mieszkanie było ciężko.

— Pewnie. — Moi starzy też się wynieśli. Kiedy
Helka umarła, nie mogli wysiedzieć. — Co? — Urzą-
dziła się i trzasła! — Mówiłam, — nie chciała słuchać,
cholera! — Stary z tej żalości forse wybulił i odkupił
dozorstwo na trzech podwórzach. Piętnaście tysięcy
kosztowało. Ale ci ma. — Trzech pomocników! —
Noc w noc w bramie, jak przy kasie na wyścigach. —
Dziesięć mórg pod Radzyminem, od jednego z Żóra-
wiew wziął. Na autostradzie gruntu na dwa fronty. —
Pieniędzy jest dość. — Na grobie Helki spłakaliśmy
się i zgoda. — Chcieli jednemu fryzjerowi cały zakład
fundować, abym za niego szła. — Niedoczekanie! —

Eh, tak! — A ja byłam pewna, że to przeze mnie sprzedaliście... Ta wasza zezowata Mietka, co była do wszystkiego, często mi powiadała. Twoja mutra miała coś do mnie, że się zadajesz...

— Moja matka?...

— I dlatego aniś pomyślał... bo nie?

— Umarła.

Główkę pochyliła. Jej małe, pulchne paluszki zacisnęły się na jego czerwonej, chropowatej ręce. Usta mi, w podkówkę wygiętymi, przebaczenia żebrała.

Zapatrzył się smętnie. Przyłasiła się i jęła teraz napierać, dociekać niby odniechcenia a wnikliwie.

Bronił się, krył, zbywał, wywinąć się nie zdołał.

Po śmierci ojca, kończył maturę. — Było? — Jeszcze było, pół emerytury i resztki, dużo resztek. — Byle się prawa dochrapać. — W połowie trzeciego kursu umarła. — Zaklął się matce i dotrwał. — Skończył — i cóż, nic. — Na aplikację trzeba darmo i długo. — Do adwokata, do rejenta, — gdzie ich szukać. — Tłok. — Protekcję? — Miał dużo protekcji. — Bardzo grzecznie, świadectwa, kopje dokumentów i na listę kandydatów. — Myślał w wojsku czas pewien, choćby za sierżanta, — nie wzięli, bo głupie serce. — Boli? — Nie boli. — Kwalifikacje, właśnie. — Do szkoły początkowej, ani mowy. — Do dziecka podejść, — sztuka. — Gdzie? — Owszem. — Egzamin, cały kurs manipulacyjny, no i ten, gdyby wakans. — Bezrobotny? — Skądże? — Nieroba. — Trzy lata. — Oh, są tacy od siedmiu

lat! — Dużo jest niepotrzebnych na świecie. — Teraz? — Nic. — To jest raz na tydzień u pana Brzęczka, jak wraca z targu nierogacizny. — Ile? — Bardzo dużo za dwie godziny. — Widoki? — Naturalnie! — Właśnie szkolny kolega ojca i jeszcze jeden pan. — Mieszkanie? — Toż samo mieszkanie. — Kuchnię odnajął, gospodarstwa dla jednej osoby nie warto prowadzić. — Więc państwo Wasińscy. — On siodlarz, jeden z najlepszych siodlarzy w Polsce. — W trudnych warunkach. — Tylu jest wysadzonych z siodła.

Nowego papierosa zaćmiła, mrugnęła na posługaczkę, do ucha jej się wygięła.

— Nie wiem, czy gospodyni...

— Bo pierwszy raz! — Tylko większe szkła!

Edek się najeżył.

— Zgóry cię uprzedzam, że więcej...

— Jakie więcej? — Z kim się mam? — Trucizna? — Wiśniówka. — No, trąc pod tę jeszcze kawę i za nasze.

Szarpnęła zegarkiem na bransoletce.

— Ósma, — to się dopiero wścieka. — Płacić.

Wydarła z torebki stówkę i podsunęła nieznacznie Edkowi.

— Zrób za mnie rachunek.

Noskiem w pudernicze utknęła.

Kłopot wynikł ze zmianą banknotu. Sposób niezawodny znalazła.

— Niema reszty? — Proszę dziesięć pudełek egipskich.

A potem wcisnęła do torebki pieniądze i jedno pudełko papierosów.

— Bierz te do kieszeni. — No gdzież zmieszczę! — Ładuj do marynarki. — Już go tam djabli biorą.

— Kogo?

— Łysego! — Podwiozę cię, — niech się wścieknie.

— — — — —

Uporczywe kołatanie ocknęło nareszcie Edka.

Zwłókł się z siennika, łachem dawnego palta się okrył i pociągnął zasuwkę.

— Pan Wasiński...

— Czwartą raz łomoczę. — Silnie pana wzięto na spanie. — Przyniosłem czajnik, bo ogień wygasa, popiołem trzeba okrywać, inaczej do obiadu odnowa.

Edek ogarnął się, wytrząchnął ostatek cukru z papierowej torebki i herbatę doprawiał. Wasiński przysiadł na skrzynce pod ścianą.

— Mam dla pana interes. — Ten inwalida, co ma się dostać do butelek, godzi się na kąć. — Człowiek rzetelny. — Pustej izby chyba dowolna. — Tamby, jak ten piec. — Parawan jest, byle szmatkę na trzcinę zarzucić i każdy u siebie. — Kawaler — a że mojej wypada dalszym powinowatym, tedy mus w godności. — Zresztą i pan kawaler. — A trzy złote na tydzień jakby znalazł. — Dziewięć złotych chce zgóry...

— I tyle raz na zawsze.

Pan Wasiński niegolonej brody skrobął, koso się zapatrzył.

— Nie namawiam. — Czas ostry. — Gdybym tak mógł, jakbym pragnął. — Niech się ruszy — nie przepadnie. — Szczery jestem, nie płacę panu, bo nie mam, — pan także nie płacisz. — Inwalidzieby się należało, — a dwanaście złotych to zawsze grosz. — Jak bieda biedy nie poratuje, to i bogactwo się nie pokwapi.

Stuknął wykrzywionym obcasem po skrzynce. Edek odmuchiwał gorący płyn.

— Niech pan sobie weźmie do rozmysłu. — Ale, Futer był wczoraj dwa razy. — Postępuje na dwadzieścia dwa. — Myślę, że całe dwadzieścia pięć można od niego...

— Za inkrustowany stolik z różanego drzewa.

Pan Wasiński spojrzął z szacunkiem na trójnog stoliczka, tulącego się w rogu pokoju.

— Wiem przecież, — antyk, damski obiekt do zbytłownych filozeli. Jedna szufladeczka sprężynkowa warta kapitał. Lusterko rżnięte wstawić, trzy gałeczki z kości słoniowej dorobić i politurę na glans. Nie do byle pałaca taki mebel! — Futer potrzyma i zarobi lichwę. — Któż inny dzisiaj. — I jeszcze na Bródnie. — A dwadzieścia pięć i dziewięć, — to trzydzieści cztery złote. A gdyby mieć ze dwadzieścia dwa to jużby tyle skórki na Karcelaku wycyganił, że takich portmonetek byłoby ośmnaście, — niech po trzy złote, — to już pięćdziesiąt cztery...

Pan Wasiński obracał w palcach portmonetkę, trzaskał zameczkiem, z upodobaniem każdą jej przegródkę rozpatrywał.

Edek milczał.

— No, niechże pan sobie weźmie to wszystko do rozmysłu. — Idę. — Boczku mamy jeszcze na dziś a kaszy na cztery dni. — Dziękować Bogu, że ta inteligencja paczką pana obdarzyła, — bardziej tchu można dostać. — Nie ma pan czego pokurzyć... Myślałem — bo jak mi sklepikarka powiedziała, że pan taksówką zajechał przed sam dom... Więc przepraszam.

Tarł sfałdowane czoło, z trudem zbierał obłądne myśli.

Felka. — Taka Felka! — Zamroczyło go z tego spotkania. — Aniby śmiał pierwszy. — Ona, jakby się wczoraj rozstali. — Nawet nie po męsku był, — dał się zaciągnąć na fundę, własnego upokorzenia nie czuł. — Opchał się, napalił za wszystkie czasy, bo i cały dzień chodził szukać nowej kuchni dla inteligencji, potem do redakcji ślepiac posad na murze. — Sznytowa niewiasta. — Koleżanka od klipy i sztubackiego czeremere. — Niepotrzebnego nagadał. — Dobrem go ujęła. I taka Felka pozabiurówki odprawia, — świat się kończy — wyrosła...

Rozśmiał się cierpko. Do ubierania zabrał.

Ledwie tknął zwiechconej garderoby, wyczuł twarde kanty pudełek. Egipskie mu się ze wszystkich

kieszeni sypały. Sięgnął do lewej kieszeni w marynarce, — jeszcze dwie paczki i papierki...

Sześćdziesiąt złotych, — cała prawie reszta z libacji! — Może zagarną? — Nie. — Pamięta dobrze, włożyła do woreczka.

Pot kroplisty wystąpił mu na czoło.

Takich jeszcze pieniędzy nie miał.

Oddać? — Natychmiast. — Lecz, gdzie jej szukać? — Musi w dawnym domu, — w tej chwili musi.

Determinacja go zdjęła. Otworzył paczkę egipskich, papierosa wyciągnął a z drugą paczką do sionki wybiegł.

— Panie Wasiński, — niech mi pan użyczy węgielka. — Dziękuję. — A tu proszę dla pana...

Siodlarz cmoknął z ukontentowania.

— Bogato, — a widziało mi się, że sobie pokurzę.

Kłębem dymu odpowiedział, za kapelusz porwał i trzasnął drzwiami.

Wrócił późno, złachany, utrudzony. Dociekł, — juści dozorca to nie szpilka. Jakób Drąg, przeprowadził się, wynalazł samego Drąga i o pannę Felkę, — a Drąg za kij. — Nie darowałby gburowi, — ale cóż, Felka...

Pan Wasiński z kuchenki się wytoczył z obtłuczonym talerzem, jakiś skupiony, solenny.

— Co pańskie to pańskie, — boczek jest i kasza jeszcze ciepła. — A tu jeszcze cały „express“ służbowy... Dwa egipskie kosztował.

Edek rzucił niedbale okiem, rozdarł kopertę i stężał.

Wezwanie, — krótkie, — oschłe: „...się stawił jutro t. j. dnia... o godzinie dziewiątej rano... celem objęcia posady kontraktowego funkcjonariusza“...

Przed ósmą już krążył przed wielką, szarą kamienicą. Doczekał się pierwszych zwiastunów orki, wreszcie całej chmary coraz szybciej pędzących. W ostatku dychawiczna jednokonka, kilka taksówek i lśniaca limuzyna.

Macał kabalistycznego papieru i z zapartym oddechem spoglądał.

Trzy lata, trzy lata skamłania, bieżaniny, wystawiania, próśb, ubóstwa, nędzy, trzy beznadziejne lata i oto zbliża się do proga. I on, tak jak inni, będzie rwał co ranka, będzie jedną z tych kropel strumienia pracy, strumienia wybrańców, szczęśników.

Przysiadł na ławeczce w mrocznym korytarzu i czekał. Długo czekał na łaskawe kiwnięcie starego woźnego.

Zgiął się w pół przed majestatem zielonego sukna.

— A to pan? — Masz pan dokumenty?

— Matura, prawo ukończone...

— Oddasz je na dole. — Aha, — Humański, tak, pan Humański... Dwieście czterdzieści miesięcy i zobaczmy...

— Panie, panie naczelniku dobrodzieju...

— Dobrze, dobrze...

Zaterkotał dzwonek, wpadł woźny.

— Radca Chucherko. — Jest już radca! — Proszę tego pana kontraktowego, jakże mu to, Murmański... ulokować i niech się obznajmia. — Od kiedy? Od zaraz, od ostatniego pierwszego...

Gruby, sutołowaty radca Chucherko skinął na Edka i prowadził. Zajrzał do pięciu pokoi, dwa korytarze przemierzył i na kąt w wąskiej szyjce pod oknem natrafił.

— Więc tu. — Woźny dostarczy, co należy. — Później zameldujesz się pan do młodszego referenta.

— Jak pan radca rozkaże.

Stanął pod oknem i rozglądał się ciekawie.

Cztery szafy bokami, drzwi nawprost do korytarza a od lewej szeroka wnęka a w niej dwie nastroszone fryzury ponad maszynkami do pisania.

Najpierw doczekał się szklanki herbaty. Po herbacie przyniesiono stół i krzeselko. Resztę woźny obiecał na jutro. Młodszego referenta nie było. Na dole kazali przyjść z dokumentami za parę dni. Siedział więc i dumał. Błoga cisza panowała wokół, bo i maszynki do pisania umilkły. Jeno chwilami ktoś mknął korytarzem i zniknął w pobliżu lub z pobliza wracał już z mniejszym rozpędem.

Edek się tem nie frasował. Był, był na posadzie. Dwieście czterdzieści złotych. I praca, upragniona, śniona. — I gdzie, — w „Gepetecie“! — Felka! — Boska dziewczyna. — Co za wpływy, co za relacje! — Jedno więcej przewartościowanie społeczne. — Niewątpliwie szalenie zdolna. — Wszystko zależy. —

Gazety sprzedawał a na prezesa banku wyszedł, taki jeden w Ameryce...

Maszynki do pisania nagle brzęknęły, stuknęły, zadzwoniły. Fryzury mocniej się pochyliły. I już puku-puku małe krocзки i dwie buzie białe i dwoje ust, niby rany nakrwawione, uśmiechają się przelotnie. Edek głębokim odpowiedział ukłonem.

Jeszcze zapóźnione stąpanie i cisza, cisza niezamącona.

W domu znów „express“ ale tym razem od Felki. Napieczętowana tekturka z adresem krawca i kilka wyrazów na bileciku wizytowym. „Idź natychmiast z tą kartą do mego znajomego krawca. Da ci nawypłat choćby po dziesięć miesięcznie. Musisz to zrobić. Za tydzień pierwsza pensja. Dam ci znać. Nie telefonuj. Mam urwanie głowy z tą cholera.“

Na odwrotnej stronie biletu numer telefonu i piękny wykrętas „Felicja Klaudja Drażanka“.

I wydało się Edkowi, że tej jednej jedynej gramatycznej „Sapieżance“ potomstwa narosło.

— — — — —
Początki były trudne a najprzykrzej z robotą. Ledwie na czwarty dzień młodszy referent znalazł i czas i klucze od jednej z szaf, które stały tuż obok edkowego stolika i rozwarł wnętrze, wypełnione szczelnie pakami obwolut.

— Będzie pan porządkował. Zielone kartoteki w nowe szare, żółte w zielone a czerwone w żółte. W każdej kartotece wykaz zawartości i nie taki, lecz

ze skrótami, — co, kiedy, od kogo. Okładek i papieru z gospodarczego. Niema się czego śpieszyć.

Jeszcze dwa dni bałamuctwa z okładkami i papierem i praca ruszyła. Edek się z początku frasował, czyli akuratnie. Młodszy referent miał doń jednak całkowite zaufanie. Przez ramię okiem rzucił i zakonkludował.

— Świetnie.

Pochwała go ucieszyła.

Od Felki tymczasem ani znaku. Wahał się, ociągał wkońcu pożyczyl sobie dwadzieścia z tych sześćdziesięciu. Krawiec, jakiś zacności pasażer, wyprawę szył i na większy obstalunek namawiał. Z ufryzowanymi sąsiadkami konfidencja się zaczęła od zapalki. Także były kontraktowe. Każda na jednym i tym samym schemacie a że przed każdą sto gotowych schematów, więc przeważnie pauza i lektura. Cóż, wyglądały najbliższego wakansu.

W dniu wypłaty przyszedł doń woźny z sążnistym arkuszem.

— Niech pan duchem podpisuje.

— Gdzie?

— Jak te linijki i tu jeszcze.

Machnął piórem i osłupiał. — Likwidacja kosztów podróży do Pragi czeskiej. — Juści pomyłka. — Nie. — Stoi wyraźnie Edmund Apolinary Humański, funkcjonarjusz.

— Panie, bo ja na Pradze ale nigdy w życiu w Pradze!...

Woźny uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Jest pan na specjalnym funduszu, tedy likwidacja musi być...

Kiedy zgarniał pieniądze, tyle naraz pieniędzy, zdawało mu się, że cudze brał.

Bywają takie dzikie uczucia.

Pieniądzy zresztą tak wiele nie było. Odpadły najpierw potrącenia służbowe, dalej gwałtu musiał coś na mieszkanie, bo rumor już poszedł, Wasińskiemu na te portmonetki, choć po jednej sztuce bielizny, krawcowi rata, garść drobiazgów, buty najtańsze i procesja naprzykrzańców. Skąd, kiedy się zwiedzieli, — ani zgadnąć, — toć nawet „prezes“ z obiadów dla inteligencji go wypatrzył. Wszystkim niepodobna. I tak nie starczyło, — drugą dwudziestkę z tych sześćdziesięciu od Felki dopozyczył.

W biurze roboty huk. Za miesiąc i ćwierci szafy nie zdoła. Głupia robota, kancelaryjna — ale przy najmniej robota. Przytem świadomość pożyteczności.

Felka bez śladu. Pewnie z tym swoim „łysym“. Ciekawe, gdzie przepada. Jest niewątpliwie w „Ge-petecie“, — ba, ale to cała studnia. Wykrył już piątą literę, — Główna Ekspozytura Pomocniczych Efektów Technicznych, — albo Technicznej.

Pewnego dnia fryzury rozgadały się o redukcjach, które znów waliły bez miłosierdzia. — Dlaczego? — Dla oszczędności. — Personel jest za kosztowny i za wielki. Naczelnik idzie na pierwszy ogień. — Zresztą przyjęto dziesięciu nowych.

— A nie wiedzą panie, gdzie właściwie pracuje panna Drażanka?

Fryzury uniosły się prawie nad maszynkami.

— Pan zna może pannę Drażankę? — Jejej! — O mój Boże! — W centrali, w samej centrali, w pałacu. — Ach, jeżeli pan zna pannę Drażankę, — to ma pan od razu siódmą klasę...

— Przepraszam, mam maturę, więc ośm klas i uniwersytet.

— Ależ etat, siódmej klasy etat i może jeszcze wyżej. — Jaki pan jest szczęśliwy! — bo ten, co na tem samem miejscu, też same kartoteki przerabiał, — nie wytrzymał, bo go zredukowali. Poparcie nie było dość usztywnione. — Ah, gdyby pan był taki dobry i od panny Drażanki listy polecające, żeby tylko były dołączone do naszych personalij, bo właśnie i nam brak usztywnienia...

— Od... Felki? — I owszem, znamy się od dzieci...

Fryzury zaniemówiły ze wzruszenia.

W kilka dni później młodszy referent wpadł oglądać, jak się posuwa robota i zachwycił się, sypnął uznaniem, rękę uściśnął a w ostatku zagadnął.

— Panie Humański, wszak pan się wychowywał razem z panną Drażanką? — Niezmiernie się cieszę, że mam w nim współpracownika...

Edek wyprężył się hardo, lecz było mu to poczytane do wartości, gdyż młodszy referent raz jeszcze prawicę jego uściśnął.

Życie rwało naprzód, huczało. Edek ciągle w kartotecznym pyłe. Mozolił się, kwaszył, ślęczał, bo cóż tam prawo, procedura, dociekania, prarzymskie czkawki, górne loty, statutowe labirynty. Miesiąc ślepienia i po miesiącu znów likwidacja za podróż do Pragi czeskiej.

Pewnego wieczora, kiedy wracał, spostrzegł przed domem stojącą taksówkę.

Tknęło go.

Felka! — Była, czekała na niego, honorowana uroczyście przez państwa Wasińskich.

Zawstydził się prawie ubóstwa izdebki, choć przecież aż śmiała się derką kolorową, którą sobie sprawił.

Felka była zaaferowana.

— Jedziemy! — Dokąd chcesz. — Pod szóstkę! — Mam jeszcze dwie godziny. — Sterczy dziś na obchodzie. — Mało nie zwarzuję. — Dalej!

W taksówce przylepiła mu się do ust, że mu tchu zabrakło. Gładziła go po twarzy i mruzczała jak kotka, uciszona, nastroszona w sobie.

Pod szóstką do rezonu wróciła.

— Na krok nie mogłam. — Półczarnej i nic. — Odwalam politykę. — Wszystko ci kiedyś rozpowiem. — Uczę się na pozabiurówkach francuza. — Łysy mnie mordował, żebym się wydała. — Już ja mu się wydam! — O tobie ciągle myślę. — Wiem, jak ci jest. — Likwidacje? — Kpij sobie. — Przez cztery miesiące jeździłam do Bukaresztu. — Głupstwo! —

Etat będziesz miał, tyłkobyś chciała w innym resorcie. — Głupia robota? — Myślisz, łysy ma mądrzejszą. — Szukałeś mnie, zgadłam. — Stary cię nie poznał i napędził. — Mieszkam w tym samym domu, ale oddzielnie — nikogo nie przyjmuję, słyszysz, nikogo! — Musisz się wynieść z Bródna. — Drogo? — Dasz sobie radę. — Co? — Te sześćdziesiąt, śpiewaj. — Może ci trzeba, mam tego dość. — Skąd biorę? — Swoje biorę, — za parę stówekbyś nie siedziała. — Od starych mogę mieć, ile zechcę! — Sad kupują, całą włókę sadu. — Kpisz? — Jedna dobra noc, — dwieście złotych, a po pierwszym i więcej. — Ode mnie samej złocisz dziennie. — Lubi od każdego. — Daktylografki? — Słuchaj tylko bez świństwa! — Zrobię, — ale gdyby co, ślepiebym wydrapała.

Naparła się znów z odwożeniem go na Pragę.

Przytulila się doń teraz i milczała, aż kiedy most zadudnił, szepnęła nieśmiało.

— Edul, tylko nic złego nie myśl, — jadę zagranicę, — na parę miesięcy...

Zgrzytnął jej „łysym“ do oczu.

— Nie, — jadę z jedną dawną dziedziczką, która będzie mi matkować. — Przysięgam! — Rozwód może dopiero wyjdzie na przyszłą zimę, bo mu żona zezwolenstwa nie daje. — Więcby chciał, abym się nawidziła i polerowała. — Tak, bo się pcha na największe recepcje, — więc, żebym wstydu nie przyczyniła. Ale ty nie słuchasz?

— Słucham.

— Jadę z Trykałową, jest to największa kresówka. Mamy zbierać niby feministykę. Do Anglików, do Francuzów, do Włochów, sama nie wiem gdzie. I widzisz, ja za nic w świecie bym się teraz nie ruszyła, ale, widzisz, Edul, — nie chciałabym przy tobie być taką... taką struclówną...

Taksówka zgrzytnęła hamulcami.

Chwyliła go za rękę i do ust przycisnęła.

Na pięterku pan Wasiński świecił uprzejmie a do papierosa się skradał.

Edek krył głupie roztkliwienie a łzy Felki ze swej twarzy ścierał.

Siodlarz sztucznie chciał zagaić.

— Bo to, sprawiedliwie powiadając, dzisiaj jeżeli co — to człowiek może tylko przez kobietę...

— Kobieta jest także człowiekiem.

— Niby jest, — ale gdzie człowiekowi do tylej urody.

— — — — —
Edek skończył nareszcie pierwszą szafę i przeszedł na drugą, bardziej skomplikowaną, bo nietylko zielone w szare, żółte w zielone, czerwone w żółte ale i niebieskie i brunatne i marmurkowe okładki. I niedość skrótów, trzeba było i rekapitulacji imiennych, przedmiotowych, numeracyjnych. Urwanie głowy. Godziny na jedną kartotekę za mało.

Jałowa robota, djabli wiedzą komu potrzebna, aleć robota a to grunt.

Przykrzyło mu się teraz mocniej, gdyż fryzury, ob-

darzywszy go bukietami, znikły hen, na czwartym piętrze jakiegoś wydziału.

Tymczasem razem z pierwszą pocztówką od Felki w biurze nastąpiły zmiany. Władzę objął nowy naczelnik. Uroczyście, małomówny, ale grzeczny, obcasami pukał i wykręcał się na jednej pięcie. Radca Chucherko sam go kiedyś do stoliczka edkowego doprowadził.

— Jesteśmy przeładowani, panie naczelniku. Właśnie pan ten... Furmański, archiwalne porządkowanie. Bardzo dobrze, panie ten... Ma pan pozabiurowe godziny? — Nie. — Więc od jutra, — niech wolno ale piorunem.

Edkowi przybyło pracy ale i wynagrodzenia przybyło. Likwidacje miesięczne wzięły rozbrat z Pragą czeską i wyniosły się do Tallina a nawet do Sztokholmu docierały.

I te likwidacje były Edkowi coraz dokuczliwszym cierniem.

Pocztówki od Felki szły, pełne nowych wrażeń a i ciekawych wieści, lakonicznych a nawet doniosłych.

„Wszystkie Luwry obleciałam“, — pisała z Paryża, — „kręci mi się z tej malatury. — Nasze „Gepe-tete“ będzie scalone razem z „Kawudezetem“. — Nic się nie bój. — Moi starzy bardzo dumni, — ten sad przepisali na mnie. — Dancingi tutaj, że „ha“, — nogą nie ruszyłam, — tylko ta moja się szasta. — Idę dla ciebie po krawaty. — Mam już jeden, boski.“

Z dalekiego południa gorętsze impresje: „Upał taki, że nie wiem, jak się rozebrać. — Winogrona rosną na polach. — Łysy idzie do koncertu, dostaje sześć kawałków miesięcznie, cholera, bo nie? — Myślę tylko o Tobie. Pisz“.

Rzym mistyki Felce przyczynił, — „Byłam dzisiaj w Sykstyńskiej, powiadam Ci zbeczałam się okrutnie z tego sądu ostatecznego. — Tej Trykałowej ciągle świadome macierzyństwo. A ja ci mówię, że chciałabym mieć dużo dzieci, rozumiesz Edul. Modlę się a z tą małpą się pokłóciłam.“

Wezuwjusz całą gamę wspomnień obudził: „Stoję i patrzę na morze ufarbkowane, na to niebo a tu dymi i kopci ten okrutny wulkan i zdaje mi się, Edul, że siedzę z tobą w pakamerze i że palimy cukier nad świeczką, na tej blaszanej łyżce. Uch, jakbym pragnęła do tego karmelu z tobą razem“.

Edek zaczął odpisywać.

Miesiące uciekały. Druga szafa jakby się zawzięła, ani widać było końca. Edek przysiadawał fałdów. Ku utrapieniu woźnego, przedłużał pozabiurówki. Woźny dziwił się, przymawiał delikatnie aż razu pewnego z całą furą papierów się zjawił.

— Niech pan to weźmie, bo uczciwie szkoda oczu.

— Jakto szkoda?

— Bo ta cała pisanina jest już chyba ze cztery razy odwalona. Co nowy kontraktowy — to go do tego samego zasądzą, aby się nazywało...

Edek osłupiał. Woźny akuracniej wykladał.

— Tu wszystko gotowe. Niech pan sobie przepisz a pracować nieopłata. — Cały interes, aby pan sobie jeszcze tak z rok, albo jak wypadnie, — etatu doczekał i na odprawę nie poszedł.

— I likwidacje podpisywał...

— A jakże darmo tyle godzin wysiadywać?

Edek podźwignął się z wysiłkiem.

Kartoteki wionęły na wsze strony listowiem papierów.

— — — — —

Pan Wasiński mocował się, aby w głos nie stęknąć a chlupanu żoninemu nie zawtórzyć. A tu trzech naraz wszystkiego się napierało.

— Mieszkał, juści mieszkał. Silnie na akademika się przykładał aż bez posady został. — Panie Święty, dycha jeszcze! — Taki młody z czego niebądź życie sobie uprzykrzy. — Mordował się, kto dziś bez mordęgi. — Wczoraj mówi, — panie Wasiński, może panu trzeba na portmonki? — Jak na urzędnika wyszedł, każdemu chciał. — Byle go w szpitalu dorezty nie pokrajali! — Kobieta? — Gdzieżby bez kobiety? — Taksówkami się do niego trzęsła, — a ostatni raz to chyba skunksy od góry do dołu. I potem z różnych krajów pisała...

Trzej panowie spojrzeli po sobie.

— Więc zawód miłosny...

— Miłosny? — Miłosny pewnie był, — ale z zawodu adwokat...

Ledwie z panami się skończyło, wpadła stróżka z pocztówką.

Jeszcze pocztówka, jak codzień, do pana Humańskiego.

Siodlarz na pstre plamy okiem rzucił i za okulary porwał.

— Od tej Felki?

— Od Felki! — Czekaj, zaraz! — „Jutro pędzę do Ciebie za tą kartą. — Słuchaj, Edul, gwizdź na wszystko, — wracam i jedziemy razem do naszego sadu, — byleś chciał Edku Mój Jedyny. — Twoja Felka“. — A no wraca... żeby tylko zdążyła...

— Żeby zdążyła — westchnęła pani Wasińska i chwyciła za chustę.

— A ty gdzie się tełempoczesz?

— Aby na jednego, — do świętej Tereski, — niechże i tej Felki nie opuści.



84731

~~48380~~

SPIS RZECZY:

	Str.
FAJKA BATOREGO	5
KONGRES	21
KOLOROWE BEZDROŻA	41
CÓRKA POKOJÓWKI	59
MECENAS	77
MGŁA NA FRONCIE	95
DRZEMKA	111
PAN KOMISARZ	127
ORJENTACJE	153
EDEK I FELKA	171

POWIEŚCI HISTORYCZNE
I INNE PRACE
WACŁAWA GAŚSIOROWSKIEGO
(WIESŁAWA SCLAVUSA)

CZTERY POWIEŚCI O KAZIMIERZU PUŁASKIM:

MIŁOŚĆ KRÓLEWICZA. Str. 424. zł. 12.—, w ozd. opr. zł. 15.—
INTERREGNUM. Str. 408. zł. 10.—, w ozd. opr. zł. 13.—
SODALIS REIPUBLICAE (w przygotowaniu).
WRÓG KRÓLÓW (w przygotowaniu).

POWIEŚCI Z CZASÓW NAPOLEOŃSKICH:

CZARNY GENERAL. Wyd. II. Str. 448.
zł. 9.—, w ozd. opr. zł. 12.—
DOBOSZ WOLTYŻERÓW. Powieść dla młodzieży z ryc.
A. Gawińskiego. Str. 172. zł. 5.—, w kart. 6.—, w ozd. opr. 8.—
ORLETA. Opowiadania, z ryc. Wyd. II. str. 208.
zł. 4.50, w kart. zł. 5.60, w ozd. opr. zł. 7.50.

HURAGAN. 3 tomy. Wyd. V. Str. 876.
zł. 18.—, w ozd. opr. zł. 27.—

ROK 1809. 2 tomy. Wyd. V. Str. 480.
zł. 10.—, w ozd. opr. zł. 16.—

SZWOLEŻEROWIE GWARDJI. Wyd. IV. Str. 348.
zł. 7.—, w ozd. opr. zł. 10.—

PANI WALEWSKA. 2 tomy. Wyd. IV. Str. 796.
zł. 18.—, w ozd. opr. zł. 24.—

SOMOSIERRA. Opowiad. hist. z 32 ryc. Wyd. III. str. 127.
zł. 5.50, w ozd. opr. zł. 8.50

POWIEŚCI Z CZASÓW POWSTANIA LISTOPADOWEGO:

KSIĘŻNA ŁOWICKA. 2 tomy. Wyd. III. Str. 496.
zł. 8.—, w ozd. opr. zł. 14.—

BEM. Wyd. III. Str. 396. zł. 8.—, w ozd. opr. zł. 9.—

EMILJA PLATER. Wyd. II. Str. 400.
zł. 9.—, w ozd. opr. zł. 12.—

ACH,—TE,—CHAMY—W AMERYCE! Str. 212. zł. 6.—, w opr. 9.—

ANARCHIŚCI. Wyd. III. Str. 212. zł. 4.50, w opr. 7.50

FAJKA BATOROGO. Nowele. Str. 200. zł. 4.50, w opr. 7.50

1910—1915. HISTORJA ARMJI POLSKIEJ WE FRANCJI.
Str. 412. zł. 14.—, w ozd. opr. zł. 17.—

KRÓLOBÓJCY. Tragiczne dzieje carów rosyjskich. Z 16 ryc.
Str. X + 408. Wyd. V. zł. 10.—, w ozd. opr. zł. 13.—

NIHILIŚCI. Powieść historyczna z XIX w. Str. 324.
zł. 6.—, w ozd. opr. zł. 9.—

NOWA KOLCHIDA. Książka o Ameryce współczesnej. Str. 328.
zł. 9.—, w ozd. opr. zł. 12.—

FIGULARZ. Powieść. Wyd. IV. Str. 320. zł. 6.—, w ozd. opr. zł. 9.—

KAŻDY KULTURALNY CZŁOWIEK
MUSI PRZECZYTAĆ

POWIEŚCI
JOSEPHA CONRADA

POLECONE DO BIBLIOTEK SZKOLNYCH
PRZEZ MINISTERSTWO W. R. I OŚWIECENIA
PUBLICZNEGO

DOTYCHCZAS WYSZŁY:

	Zł.
I. SZALEŃSTWO ALMAYERA. Wyd. III	8.—
III. MURZYN Z ZAŁOGI „NARCYZA”. Wyd. II	6.—
V i Va. LORD JIM. 2 tomy	12.—
VI. MŁODOŚĆ. JĄDRO CIEMNOŚCI	6.—
VII. TAJFUN. Wyd. II	3.80
VIII. FALK: WSPOMNIENIE	7.—
IX i IXa. NOSTROMO. 2 tomy	18.—
XIII. W OCZACH ZACHODU. Wyd. II	6.—
XIV. ZE WSPOMNIENI	4.80
XV. MIĘDZY ŁĄDEM A MORZEM. Wyd. II	7.—
XVII. WŚRÓD PRĄDÓW	6.—
XVIII i XVIIIa. ZWYCIĘSTWO. Wyd. II. 2 tomy	15.—
XIX. SMUGA CIENIA. Wyd. II	4.80
XXI i XXIa. OCALENIE. 2 tomy	15.—
XXIII. KORSARZ. Wydanie II	7.40
XXIV. OPOWIEŚCI ZASŁYSZANE.	4.—

W ozdobnej płóciennej oprawie każdy tom o 3.— zł. drożej.

W poprzednich wydaniach są jeszcze do nabycia:

IV. OPOWIEŚCI NIEPOKOJĄCE	4.80
XII. SZEŚĆ OPOWIEŚCI	3.—

WYDAWNICTWO DOMU KSIĄŻKI POLSKIEJ

POLECAMY POWIEŚCI:

	Zł.
Alberti K. <i>Ci, którzy przyjdą</i>	7.—
Augustynowicz J. <i>Książka Prot. Historia ludzka. Powieść. Wyd. III.</i> Str. 192	4.—
— <i>Piekło. Pieśń życia i śmierci. Pow. Str. 328</i>	6.—
Bartkiewicz Z. <i>Trzy opowieści. Historia jednego podwórza.</i> <i>Złe miasto. Rok 1863. Str. 328</i>	4.50
Giżycki K. <i>Przez Urjanchaj i Mongolję. Str. 240, z ryc. i mapą</i>	5.—
*Górski Artur. <i>Glossy o ludziach i ideach. Str. 344</i>	8.—
— <i>Saga o Gislím, wyjętym z pod prawa i inne Sagi islandzkie.</i> Str. 367	9.—
*Holówko T. <i>Przez kraj czerwonego caratu. (Przez dwa fronty</i> <i>cz. II). Z przedmową Woj. Stpicyńskiego. Str. 160</i>	6.—
Jeleńska E. <i>Dwór w Haliniszkach. Pow. współ. w 2 tom. Wyd. II.</i> Str. 584	10.—
Kasprowiczowa M. <i>Dziennik. (Bunt. Pojednanie). Str. 310</i>	12.—
— <i>Dziennik V. Harenda. Z ryc.</i>	6.60
*Kozicka-Dunin M. <i>Burza od Wschodu. Wspomnienia z Kijow-</i> <i>szczyzny (1918—1920). Z przedm. prof. St. Estreichera. Str.</i> <i>525 + 72 ryciny. Wyd. II. 7.—, w oprawie</i>	11.—
Kudliński T. <i>Smak świata. Powieść biograficzna. Wyd. II. Str. 248</i>	5.—
Łubieński H. <i>Rycerze śmierci. Powieść z 1863 r. Wyd. II. Str. 292</i>	6.80
Marion. <i>Rozbite gniazda. Opow. o szarych ludziach. Str. 168.</i>	4.—
Miciński T. <i>Lucyfer. Niedokonany, poemat. Mené-Mené-Thekel</i> <i>Upharisim!... Quasi una phantasia. Wydane z rękopisów pod</i> <i>red. Ar. Górskiego i Cz. Latawca. Str. 280</i>	8.—
Nikorowicz Ig. <i>Nieśmiertelny kochanek. Str. 120</i>	2.50
Pollak J. <i>Zbłąkany pielgrzym. Powieść. Wyd. II. Str. 296</i>	6.—
Relidzyński J. <i>Powrót z tamtego świata. Opow. Wyd. II. Str. 312</i>	6.—
Rzewuski hr. A. <i>Ze strzelbą na ramieniu. Opowiadania myśliwskie.</i> <i>Z przedmową J. Ejsmonda. Str. 256</i>	7.—
Szaniawski J. <i>Adwokat i róże. Żeglarz. Ptak. Trzy utwory sce-</i> <i>niczne. Autor otrzymał za tę książkę państwową nagrodę lite-</i> <i>racką. Str. 260</i>	6.—
Witkiewicz St. J. <i>Nienasylenie. 2 tomy</i>	13.50
Wyrzykowski St. <i>Moskiewskie годы. Powieść histor. 2 tomy</i>	18.—
*Zaborowski St. <i>W sercu kniei. Obrazy myśliwskie. Wyd. II,</i> <i>powiększone. Str. 248, w ozd. opr.</i>	8.50
Zahorska A. (Savitri) <i>Trucizny. Powieść współczesna z przedmową</i> <i>ks. Arc. Teodorowicza. Wyd. II. Str. 272</i>	5.—
Żmichowska N. <i>Biała Róża. Powieść</i>	4.—
— <i>Czy to powieść?</i>	5.60
— <i>Poganka</i>	2.40
— <i>Narcyza i Wanda. Wydał i wstępem poprzedził Boy-Zeleński</i>	10.—

WYDAWNICTWO DOMU KSIĄŻKI POLSKIEJ